

# AZZERO

BIULETYN INFORMACYJNO - PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



Dla  
członków  
KW Warszawa  
**10%** zniżki

## Warszawa

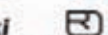
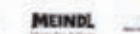
- HiMountain w **CH Reduta** Al. Jerozolimskie 148  
tel. 022 823 91 04
- HiMountain w **Galeria Arkadia** Al. Jana Pawła II 82  
tel. 022 331 27 96
- Himountain ul. Królewska 2 (wejście od **Krakowskie Przedmieście**)  
tel. 022 827 17 11
- Warszawa Janki, Himountain w **CH Geant** Mszczonowska 3  
tel. 022 711 30 77



**HiMountain**

[www.kw.warszawa.pl](http://www.kw.warszawa.pl)

2(10)/2005  
bezpłatny





# S ł o w o   P r e z e s a

To miał być zupełnie inny wstępniak.

Jechaliśmy z Alicją do Courmayeur w drodze dyskutując wyczyn Pawła i Janusza na Filarze Freney. Wiedzieliśmy już, że go zrobili – przestali nam wiadomość spod szczytu Mont Blanc. Freney zrobiony! A jednak! Nie dawaliśmy im przecież wielkich szans, byliśmy prawie pewni, że zobaczą ścianę, straszny kocioł lodowca i nabrawszy respektu – zawrócą. A przecież nie zawrócili, choć teoretycznie byli zbyt mało doświadczeni, by mierzyć się z tak trudną drogą. Okazało się jednak, że zespół stanowi wielką siłę, że nie jest prostą sumą dwóch jednostek. Że gdy zespół jest zgrany, stanowi wówczas całość o wiele silniejszą niż jego składowe, i to dzięki temu Janusz i Paweł byli w stanie przejść tak wymagającą drogę. – Nie mieli prawa tego zrobić, a jednak zrobili – mówiłem Siekierze przez telefon – skurczybyki! A potem jedna decyzja o śmigłowcu i jeden fatalny krok...



Wiele mówiło się potem o błędach, niedostosowaniu celu i tak dalej. Tak, to prawda – cel był ambitny, ryzyko zostało podjęte. A jednak będę bronił tezy, że było to świadomie w kalkulowane ryzyko – a więc nie był to błąd. Bez ryzyka nie ma alpinizmu, a prawdziwa przygoda jest tam, gdzie jest niewiadoma. W ramach kalkulowania ryzyka Janusz i Paweł nie popełnili błędów, pomimo trudności i nieuniknionych wypadków losowych – dali sobie radę. Gdyby śmigłowiec zwiózł ich szczęśliwie na dół, nikt nie mówiłby dziś o błędach. Stało się jednak inaczej i teraz każdy wyciągnąć musi z tego lekcję dla siebie.

Dramatyczny wypadek na Uszbie, który nastąpił wkrótce potem, to lekcja jeszcze bardziej gorzka. Mirek i Marta zostali w szczelinie lodowca, choć zostawać tam nie musieli. Cała czwórka powinna była spróbować dać sobie radę samodzielnie, zamiast liczyć na odległy w czasie ratunek. Pamiętajmy wszyscy, że dopóki mamy linę, choć trochę sprzętu – musimy radzić sobie sami, bo to właśnie ogranicza ryzyko. Po to uczymy się autoratownictwa, po to umiemy obchodzić się ze sprzętem, aby nie zostawiać takich spraw biegowi losu. Alpinizm oznacza odpowiedzialność za siebie i partnera, za zapewnienie sobie i jemu bezpieczeństwa. Idąc w góry musimy mieć tego świadomość, musimy umieć polegać na sobie. Tylko wtedy będziemy bezpieczni.

Cieężko mi pisać te słowa, wolalbym snuć refleksje o czym innym. Choćby o tym, że wybraliście nowy zarząd, którego trzon stanowią osoby pracujące w nim od wielu lat, a razem z nimi mnie na piątą już kadencję jako prezesa. Odebraliśmy to jako votum zaufania i dodaje nam to energii do dalszej pracy. Mamy wiele planów, a klub nasz z roku na rok rośnie i krzepnie. Otrzymujecie właśnie do rąk dziesiąty, jubileuszowy numer A/ZERO, a mamy nadzieję dostarczyć Wam w najbliższym czasie większej ilości atrakcji. Liczymy na Wasz udział w klubowych imprezach, na Waszą pomoc i inicjatywę. Oczekujemy tego również od Was, bo klub tworzą ludzie, a każdy z tych ludzi ma w nim takie same prawa.

Z czego wynika, że ma też prawo mieć obowiązki.

Artur



## EVERESTOWO – BEZTLENOWO

OLD SPICE MOUNT EVEREST EXPEDITION 2005



**Nasz kolega z KW Warszawa, Marcin Miotk jest pierwszym Polakiem, który 5 czerwca 2005 roku wszedł na Mount Everest (8850 m n.p.m.) bez dodatkowego tlenu.**

**Poniżej relacja Marcina z jego wejścia.  
Tekst i zdjęcia: Marcin Miotk ([www.miotk.pl](http://www.miotk.pl))**

Wyprawa zakończyła się sukcesem. Ale nie przyszedł on łatwo. Tak zły pogody nie było pod Everestem od 45 lat! W tym roku w cenie była również cierpliwość i pokora. Do końca sezonu, który przyniósł poprawę pogody, dotrwali tylko nieliczni. W moim przypadku dopiero drugi atak szczytowy przyniósł upragnione wejście na wysokość 8850 m n.p.m. Wejście bez tlenu i bez pomocy Szerpów to nie wszystkie wyzwania, którym musiałem sprostać...

### ŚNIEGOWO: ANNAPURNA

Był marzec 2005 roku. Przygotowania do wyprawy na Everest wkraczały w decydującą fazę, gdy nagle pojawiła się szansa udziału w wyprawie na Annapurnę. Czasu na decyzję było niewiele. Pomyślałem „Jeśli starczy czasu i zdrowia, to je-

stem w stanie zaatakować te dwa ośmiotysięczniki w jednym sezonie”.

Nasza wyprawa na Annapurnę obrała za cel południową ścianę pokonaną po raz pierwszy przez wielką wyprawę Chrisa Bonningtona w 1970 roku. Od tamtej pory nikt nie odważył się zaatakować tej pięknej, wysokiej na 4 kilometry ściany w tak śmiałym stylu, na jaki my się odważyliśmy. W ataku miało uczestniczyć tylko czterech wspinaczy: dwójka doświadczonych lisów, czyli Piotr Pustelnik zwany Kierownikiem i Słowak Vlado Štrba, oraz dwójka młodych wilków – Marcin Miotk i Piotr Morawski. Towarzyszyli nam dwaj Szerpowie wysokogórscy: Nawang i Rita, ale ich działalność ograniczała się tylko do transportu lin i żywności.

Trudne warunki pogodowe, problemy zdrowotne Vlado oraz – obiektywnie rzecz biorąc – wąski skład powodowały, że akcja górską posuwała się powoli (baza 4200 m – 1 IV, baza wysunięta



4950 m – 6 IV, obóz pierwszy – 6100 m – 15 IV, obóz drugi – 6950 m – 5 V). Mimo przeciwności morale ekipy było bardzo wysokie. Nadchodzi najważniejszy dzień wyprawy: 15 maja – dzień ataku szczytowego. Plan jest następujący: wychodzimy dzisiaj w czwórkę „na ciężko”; zabieramy namiot i próbujemy postawić obóz trzeci gdzieś w okolicach 7400-7600, skąd następnego dnia na lekko atakujemy szczyt. Zaczynamy atak. Wychodzę z Szerpą Ritą (zastąpił chorego Vlado) z namiotem, jedzeniem i linami godzinę po kolegach, którzy wyszli wcześniej poręczować. Szybko jednak ich doganiamy; teren jest trudny, poręczowanie idzie więc wolno. Przy każdej poręczy tworzą się zatory. Wciąż czekamy, wysokość zdobywamy bardzo powoli. Trzęsę się z zimna tak, że nie wiem, co począć. Mija dwunasta godzina od wyjścia z dwójki. Jest noc, wysokość ok. 7400 m, dokucza potworne zimno, platformy nigdzie nie widać. Kierownik podejmuje rozsądną decyzję o odwrocie. Docieram przed pierwszą w nocy do namiotu, nie mam nawet sił nic ugotować, w śpiworze cały się trzęsę. Zdaję sobie sprawę, że atak szczytowy się nie udał i na drugi nie mam już sił. Musiałbym

zejść do bazy na odpoczynek, ale na to nie ma już czasu. Piotrowie – Pustelnik i Morawski – planują po dniu przerwy jeszcze raz zaatakować szczyt. Nie podzielam ich opinii co do skuteczności takiego działania; organizm na tej wysokości nie regeneruje się tak szybko. Przez radiotelefon informuję lekarza o swoim słabym samopoczuciu. Szerpa Rita również chce schodzić do bazy. 17 maja rankiem zaczynam zjeżdżać w dół. Piotrowie tego samego dnia ponawiają próbę ataku szczytowego, jednak już po kilku godzinach rezygnują i wracają do obozu drugiego, a potem jeszcze tego samego dnia zjeżdżają do obozu pierwszego. Wyprawa dobiegła końca, ale o niepowodzeniu nie może być mowy. Wyprawa do ostatnich chwil parla do góry, nie było sprzeczek, kłótni, była wspólna walka i determinacja w walce o szczyt. W tak małym zespole było to szczególnie ważne, że wszyscy sobie pomagali, wszyscy cieszyli się każdym pokonanym metrem ściany. A że nie wyszło? To nie wstyd. To wielka, wymagająca himalajska ściana, która szybko uczy pokory.

## CZASOWO

Mimo że wyprawa na Annapurnę trwała dłużej, niż zakładaliśmy, do samego końca walczyłem o szczyt z kolegami. Teraz przyszła kolej na Everest. Czasu zostało naprawdę mało, miałem jednak wszystko dobrze zaplanowane. W ciągu 5 dni zdołałem przenieść się z bazy pod Annapurną do bazy pod Everestem od strony tybetańskiej. Pobyt w dolinach pozwolił mi dobrze odpocząć i zregenerować siły. Tryskałem optymizmem i wierzyłem, że zdołam wejść na Everest. Jedna rzecz mnie tylko nurtowała: jaki styl wejścia wybrać? Miał to być mój styl – styl, który dawałby mi satysfakcję z dokonania czegoś wyjątkowego. Po przemyśleniu zdecydowałem, że będę próbował wchodzić bez tlenu oraz bez pomocy Szerpów.

## WIATROWO

Huraganowe wiatry bardzo spowalniały zakładanie kolejnych obozów i ubezpieczanie najtrudniejszych odcinków drogi na Everest,

zarówno od strony tybetańskiej, jak i nepalskiej. Pierwsze wejście miało miejsce dopiero 21 maja i było to najpóźniejsze pierwsze wejście wiosenne od 45 lat! Silny wiatr i temperatury poniżej 40 stopni Celsjusza spowodowały, że ludzie się mocno poodmrażali, a słoweński alpinista został na zawsze na stokach Everestu. Tegoroczne warunki były na tyle dokuczliwe, że większość wypraw, które zamierzały wejść na Everest innymi drogami (np. Kuluarem Nortona) zrezygnowała ze swoich planów i przerzuciła się na drogę normalną od strony tybetańskiej. Ja uczyniłem podobnie.

Od tygodnia czekaliśmy w bazie wysuniętej (Advanced Base Camp – ABC) na wysokości 6400 m na poprawę pogody. Baza pustoszała z dnia na dzień, niektórzy po prostu mieli już dosyć zimna, przenikliwego wiatru, jedzenia z puszek i beznadziejnej prognozy pogody. Pakowali rzeczy i uciekali w doliny. 25 maja pojawiła się nadzieja, że pierwszy dzień czerwca może być pogodny i bezwietrzny. W bazie zapanował ruch. Oby tylko prognoza się utrzymała powtarzali wszyscy, bo przecież dobrych prognoz było już kilka, ale żadna z nich się nie potwierdziła.





29 maja wyruszyłem do obozu pierwszego położonego na Przełęczy Północnej na wysokości 7000 m. Noc minęła spokojnie i następnego dnia razem z dwoma poznanymi wcześniej Austriakami ruszyliśmy w kierunku obozu II na wysokości 7900 m. Bardzo porywisty wiatr powodował, że poruszaliśmy się bardzo powoli. Ale minęliśmy obóz II i teraz wydzielaliśmy kolejne metry drogi w kierunku obozu III (8350 m). Wiatr się wzmacniał. Zastanawiałem się, co dalej? To nie by-

jakby huragan przeszedł przez namiot – nie ma śpiwora, spodni, kurtki z windstopera, gogli, czapki, rękawic i, co najgorsza, latarki. Nie mam wątpliwości: mój namiot został okradziony. To już druga taka kradzież – wcześniej straciłem nową kurtkę z gore-texu w obozie I. Jednak tym razem straty są bardziej bolesne, bo zdarzyły się podczas ataku szczytowego. Co dalej? Co robić? Sąsiednie namioty wyglądają na puste. Zaglądam do nich. Są śpiwory. Pożyczam śpiwór na noc. Rano

Jest tam śpiwór, karimata. Najbardziej dokuczliwy jest brak latarki, moje skradzione ubranie też by się przydało, bo mam na sobie tylko lekki kombinizon puchowy. Zwykle wyrusza się ku szczytowi ok. 12-ej w nocy, ale ze względu na brak oświetlenia postanawiam wyjść ok. 5-ej rano. Będzie już słońce, co przy moim skromnym ubraniu powinno mi pomóc.

nikogo. Pokonuję go z dużym wysiłkiem, choć nowa drabina jest znacznym ułatwieniem. Powyżej spotykam pierwszych ludzi schodzących tego dnia ze szczytu; niektórzy odradzają mi dalszą wspinaczkę, bo wiatr jest zbyt silny. Ale powoli wspinam się coraz wyżej. Na szczęście, gdy osiągam okolice szczytu, wiatr słabnie. Jeszcze ostatnie, nieubezpieczone pole śnieżne i widzę kolorowe chorągiewki – to musi być szczyt! Jeszcze dziesięć kroków, jeszcze dziesięć i stoję na wymarzonej



ła pogoda na wejście bez tlenu, ryzyko odmrożeń było zbyt duże. Zdecydowałem się na samotne zejście do obozu II, a Austriacy poszli w górę.

Odpocząłem w bazie wysuniętej dwa dni i 3 czerwca rano, tym razem już zupełnie samotnie ruszyłem w górę – prosto do obozu II. Dochodzę do obozu, otwieram namiot, a tam...

oczywiście oddają. Zaczynam szybko gotować, póki jest jasno. Brak latarki jest znacznym utrudnieniem. Rano w dość dobrej formie wyruszam do obozu III. Wiatr jest znacznie mniejszy niż kilka dni temu. Idzie mi się bardzo dobrze. Do trójki docieram ok. 17-ej. Znajduję namiot porzucony przez moich kolegów austriackich.

## SZCZYTOWO KOLOROWO

Idę sam, wokół mnie nie ma nikogo. Krok po kroku. Powoli zaczynam przechodzić na system dziesiętny: 1,2,3... 10. I odpoczynek. Tempo marszu wyznacza długość odpoczynku. Wiatr jest zmienny. Dochodzę do „Second Step”, nie ma tu

wysokości – 8850!! Jestem sam, delektuję się pięknym widokiem. Makalu, Cho Oyu, Lhotse – wszystkie te ośmiotysięczniki wyglądają cudownie. Na pamiątkę zabieram spod szczytu kamień i zaczynam powoli schodzić.

## SZERPOWO

Schodzę bardzo skoncentrowany, bo pamiętam, jaka jest statystyka wypadków podczas zejścia. Do obozu III docieram już prawie w ciemnościach. Odnajduje swój namiot i nie mogę uwierzyć: w namiocie nie ma śpiwora, maszynki do gotowania, lekarstw i wielu innych rzeczy. Nawet nie mam sił krzyczeć ze złości. Jak ktoś śmiał ukraść moje rzeczy podczas ataku szczytowego? Jestem w dobrej kondycji, więc nie kładę się ze zmęczenia w pustym namiocie, tylko zaczynam chodzić od namiotu do namiotu i zdobywać rzeczy potrzebne do przetrwania nocy. W obozie III było tylko 7-9 namiotów, mimo to ktoś odważył się splądrować mój namiot. To nie była zwykła kradzież – to był wręcz zamach na życie. Kradzież takich rzeczy jak śpiwór i palnik na wysokości 8300 m to próba morderstwa. Kto to mógł ukraść?: turysta z Kathmandu, slaniający się na nogach klienci wypraw komercyjnych czy też Szerpowie? Pytanie czysto retoryczne. Straciłem po tej kradzieży szacunek do Szerpów. Co innego kradzież kurtki w obozie I, a co innego zdarzenie z obozu III. Ktoś może powiedzieć, że myśleli, że to rzeczy wyprawy, która już zeszła w doliny, ale jeśli jest choćby 1% szansy, że wyprawa jeszcze działa, nikt nie ma prawa ruszać jej rzeczy. Większość Szerpów to mili i uprzejmi ludzie, ale jak w każdej społeczności są i szkodniki, które psują reputację innym. Ważne, aby te szkodniki reszta społeczności potępiła. Mam wrażenie, że za „lupy” z obozu III niektórzy Szerpowie zostali bohaterami....

## MARZENIOWO

Każdy może zdobyć Everest w innym stylu. Mój styl polegał na tym, aby wejść jak najbardziej sportowo – bez tlenu, bez pomocy Szerpów i solo (w stopniu, w jakim to na Evereście możliwe). W mediach najbardziej oczywiście przebił się fakt, że było to pierwsze polskie wejście bez tlenu. Oczywiście było bardzo ciężko iść bez tlenu,

bardziej chyba psychicznie niż fizycznie. Największą trudnością okazał się jednak fakt, że wchodziłem sam – i z bazy na szczyt, i z powrotem. Byłem sam w namiocie i sam w drodze. Jak to w końcu sezonu (zostałem ostatnim zdobywcą Everestu w sezonie wiosennym 2005), na Evereście było mało ludzi. Wymagało to niesłuchanie silnej woli, szczególnie podczas noclegów: nie było kogoś, kto pomoże ugotować herbatę, kogoś, kto zmobilizuje, z kim można podzielić się przygotowaniem posiłku. Nawet w obozie na 8350 m wszystko musiałem robić sam. Ale wejście udało się; jestem bardzo szczęśliwy, że moje marzenie stało się faktem. Mam swój Everest.

**MARCIN MIOTK** – lat 33, alpinista młodego pokolenia, fotograf, maratończyk. Od kilku lat sukcesywnie realizuje marzenia związane z górami wysokimi. Mimo młodego wieku zdobył sporo wysokich szczytów, m. in. Mount Kenya, Chan Tengri i Pik Pobiedy, ale najważniejsze z nich są trzy szczyty ośmiotysięczne: Shisha Pangma Middle, Cho Oyu i Everest.

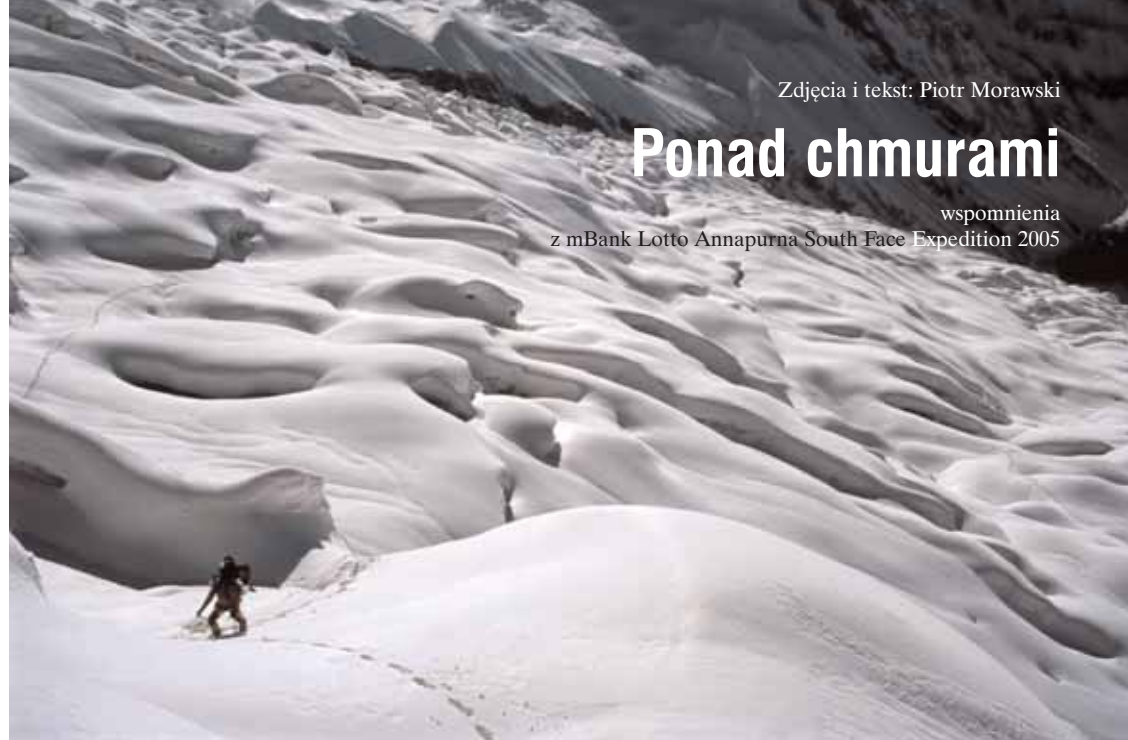
Głównym sponsorem wyprawy na Everest był producent kosmetyków OLD SPICE. W sprzęt górski Marcina wyposażyły firmy BERGSON, ROBERT'S oraz POLAR (zegarki wysokogórskie)



Zdjęcia i tekst: Piotr Morawski

# Ponad chmurami

wspomnienia  
z mBank Lotto Annapurna South Face Expedition 2005



## Prolog

Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na brudne ulice Nyalam i za kilka godzin opuszczam Tybet. Wreszcie. Jest prawie koniec stycznia. Niespodziewanie zima sygnęła śniegiem i wydawało się, że będziemy musieli spędzić jeszcze kilka dni wśród autochtonów. Lubię ich, ale chciałbym już być w domu. Tak oto po prawie dwóch miesiącach kończy się zimowa wyprawa na Shisha Pangmę. Myślałem jestem już daleko od tego szczytu. W domu czekają dwa egzaminy i obrona doktoratu. Ale myśli lecą jeszcze dalej: pod koniec marca (mam nadzieję, już po obronie) jadę na kolejną wyprawę, tym razem na pierwszą w sezonie „normalnym”. Trzy kolejne sezony upłynęły pod znakiem zimowych zmagani z ośmiotysięcznikami, teraz czekała wiosna i wielka niewiadoma. Jednego mogłem być pewien – będzie dużo więcej śniegu niż w zimie... Przygrybiały mnie opowieści o temperaturach w bazie czy na lodowcu, gdzie ponoć słońce praży niemiłosiernie. Można powiedzieć, że w pewnym sensie przywykłem do zimna, a upału nie znoszę. Największy lęk budziły we mnie wizje, w których kroczę po lodowcu

w totalnej lampie, a pot leje się ze mnie strumieniami, po czym nadchodzi noc i jest kilkanaście stopni na minusie. W zimie przynajmniej jest cały czas zimno, amplitudy mniejsze...

Tak to sobie rozmyślałem wpatrzonej w brudną szybę jeepa. Jeszcze tylko dwa miesiące i znowu będę w górach...

## Początki

Nie będę opowiadał o rozwoju akcji. Dość powiedzieć, że jest początek kwietnia, a ja stoję z opuszczoną szczęką i niewątpliwie głupim wyrazem twarzy, wpatrzonej w przepiękną południową ścianę Annapurny. Do szczytu prawie cztery kilometry; czeka nas huk roboty i mnóstwo wspinania.

Stoję obok Piotra Pustelnika. Kierownika. Dzięki niemu kolejne marzenia stały się realne. Oprócz niego przyjechał także Vlado Štrba i Marcin Miotk. Trzeci zespół miał się składać z Szerpów – Nawanga i Rity. Rita od razu przypadł nam do gustu. Wielki chłop, niewiele mówiący po angielsku, ale wiecznie uśmiechnięty. Ponadto w bazie miał siedzieć Jagat w roli kucharza wraz z pomocni-





kiem. Jagata powoli zaczynam traktować jako stały element krajobrazu: to już nasza trzecia wspólna wyprawa.

## O górze

Annapurna to pierwszy ośmiotysięcznik, na którym stanęła stopa ludzka. Strona północna jest uważana za łatwą, ale też cieszy się zasłużoną, niestety, opinią zabójcy. Prawie nieustanne lawiny i kapryśna pogoda spowodowały wiele tragedii. Góra Mgieł, jak ją nazywają autochtoni, każe sobie sownie płacić za zwycięstwa, a więcej osób zginęło na jej stokach, niż postawiło nogę na szczycie. Lekkomysłni ludzie z Zachodu ochrztili ją Górą Zabójcą, mimo to nadal pchają się w jej paszczę.

Strona południowa to potężny skalny mur o wysokości przekraczającej trzy kilometry, mur, który ogranicza dolinę nazywaną Sanktuarium, zakończenie doliny Modi Khola, jedno z najpiękniejszych miejsc, do których dotarłem. Strażnikiem wejścia do Sanktuarium jest Machapuchare (Rybi Ogon), święta góra, dotąd niezdobyta, która swoją nazwę zawdzięcza charakterystycznemu kształtowi kopuły szczytowej.

Pierwszą wyprawę, która przedarła się przez południowe urwiska na szczyt, prowadził Chris Bonnington. Zdobywcy wytyczyli drogę wyraźnym filarem w lewej części ściany. Na wysokości około 7300 m musieli pokonać kluczowe trudności – około stu metrów terenu wycenionych na V A0. Szybko uznaliśmy geniusz naszych angielskich poprzedników, jest to bowiem chyba najbezpieczniejsza droga na szczyt, narażona na lawiny tylko w niewielu miejscach. Lawiny za to wciąż schodzą z okolicznych turni i ich huk towarzyszy przez całą wyprawę. Śnieg, śnieg i jeszcze raz śnieg. Góra Mgieł... Już po kilku dniach wiemy, że zasługuje na swoją nazwę. Zazwyczaj poranki są pogodne, jednak po krótkim czasie z dolin napływają chmury, szybko ogarniając bazę, ścianę i szczyt. Otulają wszystko mgłą i jeszcze na dodatek przysypują śniegiem. Marzę o tym, żeby któregoś wieczora nie padało, aby wstać rano i iść w górę po śladach, które z mozołem torowałem dzień wcześniej. Niestety, cały dzień ciężkiej pracy idzie na marne, ślad trzeba zakładać od nowa. Po dwóch-trzech tygodniach zamieniam się w automat. Wiem, że jeśli rano pomyślę o tym, co mnie czeka w ciągu dnia, dopadnie mnie zniechęcenie, zatem wbijam sobie do głowy, że tak musi być



i tyle. Rankiem po prostu wychodzę do pracy i to działa. Wspinam się w zespole z Piotrem i od początku świetnie się dogadujemy, to też pomaga. Mimo coraz większych kłopotów codziennie z coraz większą determinacją na nowo podejmujemy walkę.

Monsun opóźni się o dwa tygodnie. To dlatego baza nadal stoi na ponad półmetrowej warstwie śniegu. W zeszłym roku Piotr też atakował Annapurnę, bazę mieli w tym samym miejscu i wszystkie namioty stały od samego początku na trawie. W tym roku pierwsze żdźbła pojawiają się w połowie wyprawy i to dlatego, że Szerpowie wykopią je spod śniegu, ryjąc platformy pod namioty. Droga do jedynej wiedzy śnieżną granią. Trzeba czasem torować w głębokim śniegu w stromym terenie. Poręczowanie w takich warunkach wysysa siły. A w zeszłym roku chłopcy szli po skale...

Wieczorem leżę w namiocie, zasłuchany w szelest padającego śniegu. W kółko trzeba robić te cholerne ślady, cały czas prowadzić w syjących się pyłówkach. Ale o to przecież chodzi. Mili ludzie zmagający się z potężną ścianą. Jesteśmy sami i możemy polegać tylko na własnych siłach. Żadnej innej wyprawy, stare poręczówki spotykamy sporadycznie. Właśnie dlatego tak lubię zimę

w Himalajach – można poczuć się pionierem. I cieszę się, że na tej wyprawie jest podobnie. Sanktuarium spełnionych marzeń. Czasem w walce ze śniegiem, z trudnościami i samym sobą tak się zatapiam, że szczyt niknie z mojego horyzontu.

## Seraki

Mijają dni, a my wydieramy ścianie kolejne metry. Mamy obóz pierwszy. Ponad nim poręczujemy kilkaset metrów stromego, lodowo-śnieżnego kuluaru, którym regularnie schodzą lawiny pyłowe. Mamy z Piotrem do wyboru: albo czekać na lepszą pogodę, albo pracować w takich warunkach. Trudno uwierzyć, że któregoś dnia chmury przestaną nadchodzić, wszak tak jest codziennie. Szerpowie mają na to swoją teorię – w Sanktuarium nie można jeść mięsa, a my opychamy się mięsnymi liofilizatami. Bogowie nie lubią, jak się łamie ich przykazania w świętych miejscach. Początkowo wzduszamy tylko ramionami i nadal dorzucamy kurczaka liofilizowanego do czegoś, co nazywamy dumnie zupą. Po kilku tygodniach nieustannego torowania sam łapię się na tym, że unikam mięsa; nie jestem przesądny, ale może śnieg przestanie kiedyś sypać...

Nad nami problem, który spędza sen z powiek: potężny wał seraków, przez który musimy znaleźć przejście. Wiszące nad nami zwały niebieskiego lodu, które jakby tylko czekały, aby runąć, z oczywistych powodów nie wzbudzają zaufania. Obejrawszy dokładnie zdjęcia zdecydowaliśmy, że nie będziemy ich obchodzić: nie dość, że nadłożylibyśmy drogi, to jeszcze czekałby nas długi trawers pod całym lodowym murem. Udało nam się wypatrzyć coś, co wyglądało na wyrwę, i tam postanowiliśmy uderzyć.

Ruszamy w górę. Aparat zostawiam w namiocie jedyńki: dźwigamy z Piotrem po trzysta metrów lin, czeka nas sporo poręczowania, poza tym zazwyczaj po południu i tak są chmury. Aparat waży ponad kilogram, a nam zależy na czasie. Jeśli znajdziemy drogę przez seraki, droga do dwójki stanie otworem.

Dochodzę do końca poręczówek, stąd zaczynamy dzisiejszą szczytę. Stanowisko jest półwysp. Ze sto metrów nade mną wisi ogromny serak, pode mną dwa kilometry powietrza do podstawy ściany, do bazy będzie ze dwa i pół... Jest już południe i ze zdziwieniem stwierdzam, że chmury cały czas stoją na dole. Coś niesamowitego. Jesteśmy zawieszni pomiędzy nimi a niebem. Dookoła nas niższe dzioby i burty okrętów wystają z białego

morza granie, filary i ściany. A mój aparat został w jedyńce... Pewnie za kilka dni nie będzie takich widoków... (ponieważ nie trzymamy się chronologii, dodam, że kiedy później zśliśmy do dwójki z całym sprzętem, Annapurna zrobiła głęboki ukłon w naszą stronę: ta niesamowita pogoda powtórzyła się i mogłem wszystko uwiecznić na slajdach).

– Mogę iść? – Możesz. Czym prędzej wspinam się do seraka; byle się w niego wbić i wyjść powyżej, niech ta bryła lodu już nade mną nie wisi. Jest jakieś przejście, wychodzę z lodu i w kopnym śniegu zakładam iluzoryczny stan. Ściągam Piotra i z niepokojem zadzieram głowę do góry. Kolejne seraki, ale widać jakiś przesmyk. – Mogę? – Możesz. Dziaby ledwie siadają w twardym lodzie, wreszcie przechodzę przez serak i nie wiem, którędy iść dalej. Nade mną wywieszona lodowa ściana. W lewo czy w prawo? Stoję na stromym stoku, na którym nie wiadomo jakim cudem trzyma się mnóstwo śniegu. Mam wrażenie, że w każdej chwili zjadę razem z nim. Wbijam trzy szable, Piotr zaczyna iść. Z przerażeniem widzę, że dwie z nich wylatują z puchu; siadam na szablach, jeszcze dobijam obie dziaby i modłę się, byśmy nie zjechali.

Po krótkiej dyskusji z partnerem decyduję się iść w prawo. Przejście dwudziestu metrów zajmuje mi



chyba godzinę. Każdy krok muszę ostrożnie wykonać w głębokim puchu. Stanowiska właściwie nie ma, nie mogę też założyć przelotu. Piotr spogląda z niepokojem. Oby dotrzeć do seraka, będzie można osadzić śrubę w litym lodzie. Jeszcze tylko pięć metrów... W końcu wyciągam śrubę i wreszcie mam solidny przelot; widzę ulgę w oczach Piotra. Patrząc w górę i nie wierząc własnym oczom: przede mną około 50 metrów stromego, ale łatwego terenu, a więc znaleźliśmy przejście! Godzinę później wychodzę na śnieżne plateau, już z daleka widzę miejsce na obóz drugi. – Mamy dwójkę! – krzyczę przez radio do Piotra, cieszymy się jak dzieci. Droga na szczyt stoi otworem, przynajmniej tak nam się wydaje...

## Atak

Ranek wstaje zimny, ale pogodny. Poprzedni dzień był potwornie ciężki. Trudności drogi z pełnymi plecakami dały się każdemu we znaki. Niestety, nie udało się założyć trójki i o pierwszej w nocy zdecydowaliśmy się na powrót do obozu drugiego. Leżymy prawie bez słowa. W jednym namiocie Marcin i Rita, w drugim Piotr i ja. Dzień mija leniwie. Wypoczywamy, by dzień

później napierać ponownie, szczyt przecież jest tak blisko...

Dużo pijemy, cały czas leżymy. Myślę tylko o tym, by zebrać jak najwięcej sił. Zabawa dopiero się zaczyna. Ostatni miesiąc był bardzo wytężający, a teraz trzeba go ukoronować. Kolejny zimny i pogodny ranek. W nocy budziłem się kilka razy, niespokojnie przewracałem się z boku na bok. Słychać budzik; siadam gwałtownie i niechcący potrącam głową dach namiotu. Cały szron ląduje na naszych śpiworach i twarzach. Wstajemy, gotujemy prawie bez słowa, nawołujemy tylko ku sąsiadniemu namiotowi, aby chłopcy wstawali, ale nie widać tam żadnego ruchu.

Kiedy wychodzimy na zewnątrz, oślepia nas piękny widok, w mroźnym powietrzu nie widać ani jednej chmury. Kolejny raz przekonuję się, że nie ma jak dobre ubrania i śpiwory puchowe. Jestem wygrzany i wypoczęty, szybko pakuję rzeczy. Z wnętrza sąsiedniego namiotu Marcin zawiadamia nas, że schodzi na dół, po 10 minutach Rita też rezygnuje. Naradzamy się z Piotrem. Krótkie przepakowanie i z godzinnym opóźnieniem idziemy w górę ze dwóch. Słońce grzeje nadal, ale mróz nie ustępuje.





Lecę jak na skrzydłach. Co pewien czas łączę się przez radio z Piotrem, jego też opanowuje euforia. Wbijam się w przewieszki. Niesamowity widok: nie ma chmur, pod nami całe Sanktuarium. Widać ślady zejściowe z dwójki, nikną w barierze seraków. Prawie kilometr niżej żółcią namioty jedyńki. Ponad dwa kilometry niżej, na trawiastych już morenach, stoi baza. A my zawieszeni pomiędzy niebem a ziemią. Założenie trójki jest tak realne... „I założyli obóz trzeci, weszli na szczyt i żyli długo i szczęśliwie”.

Ale nie zawsze bajki dobrze się kończą. Kiedy wiszę na poręczówce, Piotr wywołuje mnie przez radio. Zmęczonym głosem mówi, że nie jest w stanie iść wyżej. Krew mi zawrzała; pierwszą myślą było, żeby iść dalej samemu... Długa rozmowa kończy się ostateczną decyzją. Zjeżdżam, wpatrzony w skalną kopułę szczytową. Wiem, że wyprawa jest skończona.

## Epilog

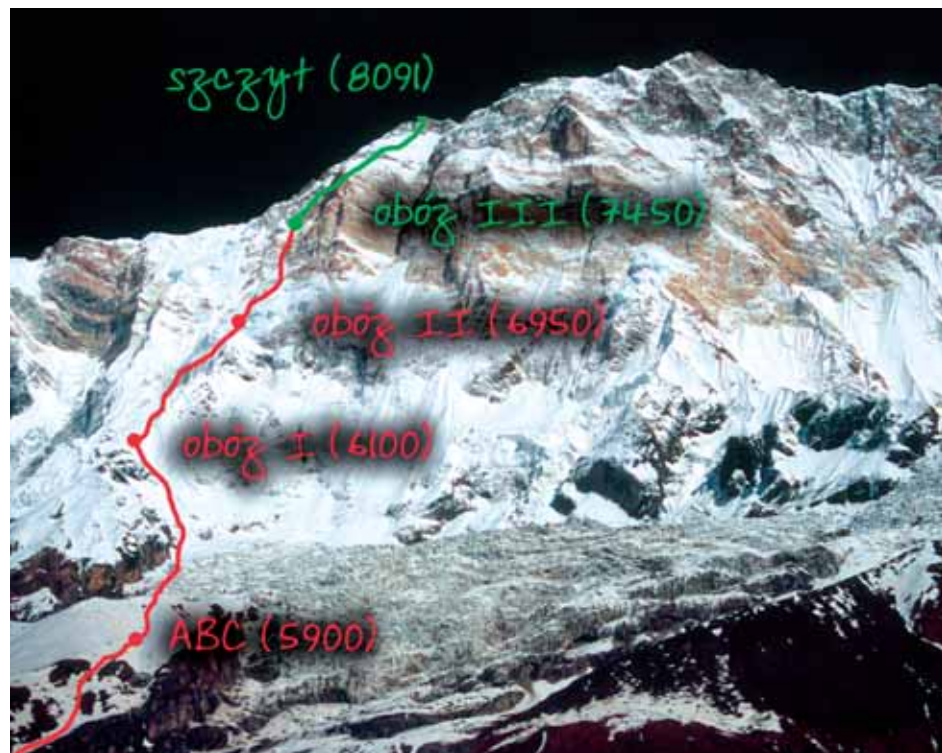
Siedzimy w bazie ze zwiędłymi minami. Nie rozchmurza nas nawet wieść, że nadeszła burza i właściwie nie mieliśmy szansy na szczyt. Annapurna po raz kolejny pokazała, gdzie są granice ludzkiej wytrzymałości. Nie oszczędzaliśmy się z Piotrem ani przez minutę. Ryliśmy w śniegu, torowaliśmy, nosiliśmy ciężkie plecaki i kiedyś musieliśmy paść. Tylko dlaczego akurat podczas ataku? Może po to, aby tutaj jeszcze wrócić?

Do Katmandu jadę z przekonaniem, że ostatnie tygodnie należały do najpiękniejszych, jakie spędziłem w górach. Mnóstwo pracy, wspinania, emocji i górską przyjaźń... Czego można chcieć więcej?

[www.piotrmorawski.com](http://www.piotrmorawski.com)

[www.marmot.com](http://www.marmot.com)

[www.roberts.pl](http://www.roberts.pl)



# Cerro Torre, północna ściana

*El Arca de los Vientos*

Rozwiązanie zagadki z 1959 roku





Minęło trzynaście długich lat od czasu, gdy po raz pierwszy próbowałem wspiąć się na Cerro Torre od północy. Ów pierwszy atak miał miejsce w październiku 1992 roku wraz z Guido Bonvicini i Adriano Cavallaro. Udało się nam wtedy osiągnąć podstawę tzw. *Zacięcia Angielskiego*, po raz pierwszy pokonanego przez Phila Burke'a i Toma Proctora w 1981 roku. Do tego miejsca mieliśmy za sobą 550 metrów, musieliśmy jednak się wycofać, gdyż ścianę pokrywał śnieg. Czekając na lepsze warunki zrobiliśmy *Franco-Argentina* na Fitz Roy i *Drogę Przez Kompresor* na Cerro Torre. W listopadzie zaatakowaliśmy ponownie. Spaliliśmy pod zacięciem w pozostawionym przez Burke'a i Proctora portalege'u. Następnego dnia pogoda była fatalna. Moi partnerzy chcieli zjeżdżać, ale uprosiłem ich o kilka godzin, żeby

wspiąć się kawałek wyżej; chciałem dostać się na Col of Conquest, po prostu z ciekawości, pragnąłem ją zobaczyć. I tak się stało, ale w końcu burza zmusiła nas do wycofania się.

W 1994 podjąłem kolejną próbę na tej samej drodze z Tommym Bonapace, Austriakiem. Miał za sobą już sześć nieudanych ataków tą trasą. Wyszliśmy z bazy rano, po południu zdołaliśmy osiągnąć podstawę trójkątnego pola śnieżnego około 300 metrów nad lodowcem, potem nastąpiła cała seria nieszczęśliwych wydarzeń. Po fatalnym biwaku Tommy powiedział: „Koniec, Ermano, nigdy więcej”. Zrozumiałem, że jego związek z tą drogą definitywnie dobiegł końca.

Od tego ataku upłynęło dziesięć lat, od czasu do czasu ogarniały mnie wspomnienia. Długo bro-

nilem Cesare Maestri, Toniego Eggera i Cesarino Fava. Dokonałem wiele, zarówno w publicznych debatach, jak i w rozmowach przy barze, walczyłem na śmierć i życie z najbardziej zaciekle oskarżycielem Maestri, Kenem Wilsonem, redaktorem naczelnym angielskiego magazynu *Mountain*. Stopniowo jednak zmieniał się mój pogląd w tej sprawie. Ponownie przeczytałem i przestudiowałem wszystko, co zostało powiedziane i napisane w obronie Maestri, i ogarnęły mnie poważne wątpliwości. Jedyną rzeczą, której nie dotyczyły, było marzenie, aby wejść jego domniemaną drogą; ono nigdy nie umarło. Po przejściu nowej drogi na wschodniej ścianie Cerro Torre w listopadzie 2004 roku wróciłem z Patagonii do domu. Dwa miesiące później obchodziłem pięćdziesiąte urodziny i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że mój czas ucieka.



Mimo to pragnienie wejścia północną ścianą nie słabło.

W styczniu 2005 postanowiłem, że wrócę pod Cerro Torre i zaatakuję północną ścianę. Pod koniec zimy mój przyjaciel Rolando Garibotti przedstawił mi w liście pewien projekt. Już wcześniej proponował mi wspólne wspinanie w Patagonii, ale zawsze odmawiałem, ponieważ czułem, że jest dużo młodszy i silniejszy niż ja. Jego pomysł mnie zaintrygował, ale odpowiedziałem, że wolalbym najpierw spróbować północnej Cerro Torre, domniemanej drogi Maestri. Początkowo Rolo wahał się, wreszcie zgodził się na współudział, a nawet okazał spory entuzjazm. Był na pokładzie. Przyłączył się też do nas Alessandro Beltrami, mój partner na wschodniej ścianie Cerro Torre.

W ciągu lata narastały kontrowersje w prasie włoskiej. W wywiadzie zapytano mnie, co sądzę o domniemanym wejściu Maestri; odpowiedziałem szczerze, że uważam je za czystą fantazję. Ponieważ mieszkam około dziesięciu kilometrów od niego, lokalna prasa miała trochę biegania z powodu mojej wypowiedzi [coś tu jest nie tak, sprawdź w oryginale!]. Mimo to zamierzałem kontynuować nasz projekt.

Chociaż ekscytowała mnie myśl, aby szukać śladów przejścia Maestri, moim głównym celem było

samo wspinanie. Od dawna pociągała mnie koncepcja wejścia drogą wychodzącą na szczyt Cerro Torre bez użycia nitów z *Drogi Przez Kompresor* (przebytej przez Maestri w 1970 roku). I nie tylko mnie. Wielokrotnie próbowali tego Austriak Toni Ponholzer wraz z partnerami, dwa razy dotarli zaledwie 250 metrów od szczytu, po przejściu drogi w prawej części północnej ściany. Burke i Proctor po przejściu wielkiego zacięcia na wschodniej ścianie wtrawersowali w samo serce północnej ściany i zatrzymali się zaledwie 30 metrów od zachodniej grani. Według pierwotnego założenia chcieliśmy podążyć szlakiem Austriaków, ale okazał się bardzo załodzony, musieliśmy więc szukać alternatywy. Jak powiedział kiedyś wielki Bruno Detassis, należy szukać najprostszysch rozwiązań tego, co najtrudniejsze. I w końcu dokładnie to uczyniliśmy.

Przybyliśmy do El Chaltén czternastego października o piątej po południu. Dziesięć minut później spotkaliśmy się z Rolo, który przyjechał z Bariloche. Pogoda była dobra, więc następnego dnia po południu staliśmy pod Cerro Torre. Byliśmy gotowi do wspinania, ale przed świtem zaczął padać śnieg, wróciliśmy więc do El Chaltén. Podchodziliśmy pod Cerro Torre jeszcze trzy razy. Przeszliśmy pierwsze cztery wyciągi i zostawiliśmy





trzy liny jako poręczówki. Któregoś ranka wimalpowaliśmy do ich końca wyciągając cały sprzęt, lecz znów zaczęło padać. Nie mogliśmy porywać się na drogę tej klasy w takich warunkach.

Za czwartym razem wyszliśmy wcześniej rano i o piątę po południu osiągnęliśmy niewielki filar tuż nad Col of Conquest, między Torre Egger a Cerro Torre. Stamtąd wykonaliśmy krótki zjazd, który dał nam dostęp do północno-zachodniej ściany. Po kilku wyciągach znaleźliśmy dobre miejsce na biwak. Następnego dnia ściana zaczęła stawać dęba, ale Rolo wspinał się bardzo szybko, mimo iż musiał oczyszczać skałę ze śniegu, aby znaleźć jakieś szczeliny.

Późnym popołudniem dotarliśmy na niewielką półkę na samej krawędzi północnej grani. Mielśmy dobry wgląd w północną ścianę ponad nami i po naszej lewej stronie, wyglądała całkiem znośnie. Byliśmy zdecydowani: szczyt Cerro Torre był tylko trzysta metrów powyżej nas. Naprzeciwko i zaledwie około pięćdziesięciu metrów wyżej znajdował się szczyt Torre Egger. Na północy widzieliśmy odległe o ponad dwieście kilometrów

Cerro San Lorenzo. Zdecydowaliśmy się na wyrąbanie półki, żeby móc siedzieć wygodnie przez noc. Pech chciał, że pogoda zaczęła się psuć. Od zachodu nadciągnęły czarne chmury i zaczęły nami trząść mocne podmuchy wiatru. Co robić? Wycofać się, czy iść dalej? Wiedzieliśmy, co oznaczał odwrót: to, że już tam nie wrócimy. Wspiąć się dwieście, trzysta czy czterysta metrów i wycofać się z powodu załamania pogody, to zdarza się w tutaj bardzo często. Ale gdy dojdzie się aż tak wysoko, po odwrócie trudno znaleźć w sobie siłę zarówno fizyczną, jak i psychiczną na kolejny atak.

O ósmej wieczorem ze ściśniętymi gardłami zdecydowaliśmy się zjeżdżać. Śnieg padał obficie, wiał wiatr. Najpierw zjeżdżaliśmy ścianą północno-zachodnią, później wykonaliśmy trzy zjazdy wzdłuż północnej grani, żeby dostać się do filarka nad Col of Conquest. W całkowitej ciemności zjechaliśmy kolejne dwieście metrów obok przełęczy. Mniej więcej na wysokości podstawy *Zacacia Angielskiego* postanowiliśmy zatrzymać się i poczekać na wschód słońca. Nasze czołówki działały dość kiepsko, co znacznie utrudniało zjazdy.







Była pierwsza, odczuwaliśmy zmęczenie. Wykopaliśmy platformę, aby ułatwić sobie oczekiwanie i przygotować coś do jedzenia. O piątej rano kontynuowaliśmy zjazdy. Prawie wykończeni, w półśnie, zjeżdżaliśmy bardzo uważnie, żeby uniknąć błędów; usiłowaliśmy też odzyskać cały sprzęt, zdecydowaliśmy się bowiem na kolejną próbę. Cztery godziny później dotarliśmy do jamy śnieżnej; wydała się nam Grand Hotelem! Pogoda nie była zła, ale słyszeliśmy, jak mocno wieje na górze.

Zdecydowaliśmy się posiedzieć w niej do następnego dnia, kiedy to zamierzaliśmy zejść

do El Chaltén. Już po południu, koło trzeciej, zaskoczył nas straszliwy łoskot. Gdy spojrzałem w górę, zacząłem krzyczeć: ścianą spadała ogromna lawina. Ale złapał łopaty i schował się w jamie. Rolo zaczął biec boso w dół lodowca; myślałem, że chce robić zdjęcia, ale on uciekał, bojąc się najgorszego. Ponieważ już wcześniej widziałem takie lawiny w ścianie, udało mi się zachować spokój; wyciągnąłem aparat i zrobiłem kilka zdjęć. Prawdopodobnie urwał się któryś z grzybów lodowych w szczytowych partiach Torre, wymiatając dokładnie ścianę i pokrywając ją śniegiem.

Spektakl był niesamowity i przerażający. Z powodu wiatru olbrzymia biała chmura, zamiast spadać wprost w dół, przemieszczała się poziomo na południe i tylko dwa niewielkie jezory sięgnęły podstawy ściany.

O czwartej po południu skończyliśmy rozmawiać o lawinie i poszedłem spać. Ale nie spałem, o północy dał mi kawałek sera i trochę krakersów. Wstałem i poszedłem na zewnątrz na papierosa. Niebo było niebieskie, a mnie ogarnął ogromny smutek. Płakałem, odkryte niebo sprawiało mi prawie fizyczny ból. Wszak unieśliśmy ze ściany

wszystko, pozostało tylko wracać do domu. Zasnąłem około drugiej nad ranem. Gdy obudziłem się o szóstej, zaproponowałem partnerom, aby spróbować jeszcze raz. Zapadła cisza; po chwili moich kolegów ogarnął entuzjazm i przystali na mój pomysł.

Gdy szliśmy do El Chaltén, padał śnieg. Idąc w dół planowaliśmy kolejną próbę. Postanowiliśmy, że pójdziemy tak lekko, jak tylko się da; zostawimy wszystko, co wyda się zbędne. Byliśmy zmęczeni, wiedzieliśmy, że musimy odpocząć kilka dni.





Następnego dnia, dziesiątego listopada, pogoda była kiepska, a my cieszyliśmy się zasłużonym wypoczynkiem. Gdy zśliśmy spać, pogoda nadal nie była dobra, nie śpieszyliśmy się więc zbyt wiele na powrocie. Okazało się jednak, że niebo się odsłania, i choć chcieliśmy wypocząć jeszcze kilka dni, w zasadzie wbrew sobie zdecydowaliśmy, że idziemy z powrotem w górę. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele na podejściu, ale nasze nogi były w dobrym stanie i w czasie krótszym niż sześć godzin dotarliśmy do jamy śnieżnej. Szybko przygotowaliśmy się do wspinania; Rolo i ja wbiliśmy się w ścianę i tak jak poprzednio zaporęczowaliśmy pierwsze cztery wyciągi. Ale miał popracować nad naszą nową jamą śnieżną, którą ze względów bezpieczeństwa przesunęliśmy pod Torre Egger. Dwie godziny później wróciliśmy do „domu” i pomogliśmy Ale w ostatnich poprawkach. Nasza nowa jama była rozkoszna i znacznie bezpieczniejsza niż poprzednia. Pogoda stawała się doskonała, bez choćby najsłabszego wiatru. Nasze nadzieje rosły.

Budzik zadzwonił o trzeciej czterdzieści pięć. Śniadanie było żartem: pogoda idealna, nie chcieliśmy tracić ani sekundy. O czwartej czterdzieści pięć, z czołówkami na kaskach, wymalpowaliśmy po pozostawionych poprzedniego dnia poręczów-

kach. Przeszliśmy następne dwa wyciągi i dość szybko osiągnęliśmy trójkątne pole śnieżne. O szóstej zaczęło nas ogrzewać słońce.

Przemieszczaliśmy się szybko, wspinaliśmy się bowiem terenem, który przecież pokonaliśmy zaledwie kilka dni wcześniej. Rolo szedł szybko, stosował technikę zwaną „short-fixing”, której nauczył się w Yosemite. Polegało to na tym, że prowadzący po wyciągu ściąga linę, mocuje na sztywno na stanowisku i wspina się dalej. Dzięki temu zyskiwaliśmy od dziesięciu do dwudziestu metrów na każdym wyciągu.

Płyty nad polem śnieżnym są dość trudne, ponieważ jednak wiedzieliśmy dokładnie, którędy iść, zdołaliśmy je przejść dość szybko. Śnieg pokrywający rampę wiodącą w górę filara ponad Col of Conquest był w znacznie lepszym stanie niż poprzednio, więc znów zyskiwaliśmy na czasie. Było prawie południe, gdy dotarliśmy do filara, pięćdziesiąt metrów ponad przełęczą.

Na ścianie północno-zachodniej po naszej poprzedniej próbie rysy nadal nie były zasypane śniegiem, więc udało się dotrzeć do niewielkiego tarasu na krawędzi północnej grani około trzeciej po południu. Podczas poprzedniej próby dotarcie do tego miejsca zajęło nam dwa dni. Uznaliśmy, że to dobre miejsce na biwak, ale mając jeszcze

kilka godzin światła chcieliśmy zaporęczować kilka wyciągów. Po krótkiej przerwie wystartowałem w trawers wąską rysą, przeszedłem kilka trudnych miejsc po płycie do następnego trawersu. Ściana była w cieniu, mróz dawał się we znaki naszym dłoniom. Po pierwszym wyciągu Rolo i Ale przeszli jeszcze jeden, też dość trudny. Podczas gdy byliśmy zajęci na ścianie północnej, północno-zachodnia zaczęła zrzucać ogromne bloki lodu z grzyba lodowego powyżej niej, na szczęście na grani byliśmy bezpieczni.

Miejsce biwakowe było doskonałe. Przed nami widniała Torre Egger, na prawo Fitz Roy, a po lewej olbrzymi Lodowiec Kontynentalny z otaczającymi go górami. Zimno było przenikliwe, niebo iskrzyło się od gwiazd. Noc przeszła szybko i nawet udało się trochę przespać.

Następnego ranka, trzynastego listopada, czułem się jak w filmie lub we śnie. Zaczęliśmy się szykować do startu o szóstej, ale nie byliśmy gotowi aż do ósmej. Na szczęście słońce dość szybko zaczęło ogrzewać nasze zmrożone ciała. Ściana była prawie pionowa i dość trudna. Od końca poręczówek Rolo przeszedł jeszcze dwa wyciągi w zygzak między grzybami lodowymi, aż dotarł do końca północnej ściany. Gdy do niego doszedłem,

na ostatnim stanowisku, choć byliśmy prawie bez tchu, uścisnęliśmy się z radością. Północna ściana pod nami nie stanowiła już problemu. Kolejnym wyciągiem, w idealnym lodzie, połączyliśmy się z *Ragni de Lecco*, drogą, którą w 1974 roku otworzyli Daniele Chiappa, Mariolino Conti, Casimiro Ferrari i Pino Negri.

Było koło pierwszej po południu, a wielkie, słabo związane formacje lodowe nad nami nie zapowiadały, że teren stanie się łatwiejszy. Szczyt Torre Egger sterczał znacznie poniżej nas, lecz nadal nie widzieliśmy wierzchołka Cerro Torre. Nastąpiła kolejna seria trudnych wyciągów. Lód nie był twardy i spoisty, miejscami musieliśmy wkopywać się głębiej niż 50 centymetrów, żeby znaleźć jakiś punkt zaczepienia

Mieliśmy tylko dwie szable śnieżne, śruby lodowe były bezużyteczne, asekuracja praktycznie nie istniała. Ale nie mieliśmy zamiaru się poddać, byliśmy gotowi na wszystko. Tymczasem zachmurzyło się, zaczęło trochę prószyć i wiać. Ostatni wyciąg zrobiliśmy etapami, każdy z nas po kawałku. Znow zrobiło się przenikliwe zimno. O jedenastej piętnaście wieczorem osiągnęliśmy najwyższy punkt Cerro Torre. Przypomniało mi się, że dokładnie rok wcześniej, trzynastego







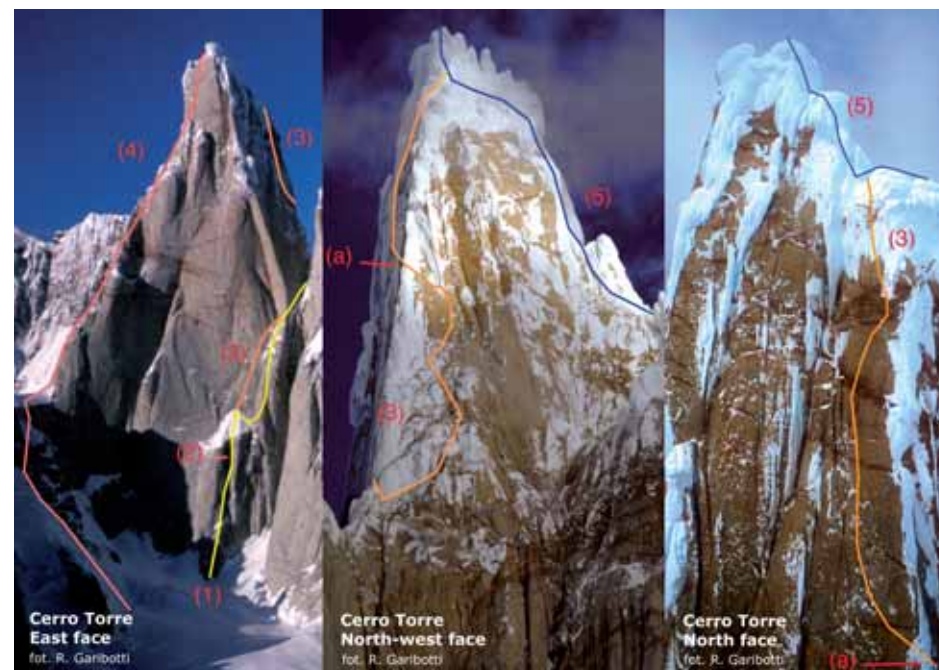
listopada, dotarliśmy na ten sam szczyt nową drogą na wschodniej ścianie. Po kilku zdjęciach zeszliśmy z grzyba i usiedliśmy pod śnieżną przewieszką, aby przeczekać noc. Następnego ranka zjechaliśmy *Drogą przez Kompresor* na południowo-wschodnią grań.

Postanowiliśmy nazwać drogę *El Arca de los Vientos* (*Arka Wiatrów*). W sumie przeszliśmy trzydzieści siedem wyciągów, w tym dwadzieścia jeden nowych. Dedykowaliśmy drogę pamięci naszych dwóch serdecznych przyjaciół, Hiszpana Pepe Chaverri i Argentyńczyka Teo Plaza. W 1994 roku tych dwóch niesamowitych chłopaków dokonało wspaniałego przejścia: w stylu alpejskim pokonali wschodnią ścianę Cerro Standhardt. Niestety, niedługo potem piękne życie Teo zakończyła lawina. Kilka lat później góry upomniały się też o Pepe.

**Epilog.** Po czterdziestu sześciu latach wątpliwości: nie znaleźliśmy żadnych śladów przejścia Eggera, Fava i Maestri powyżej składu sprzętu znajdującego się nad początkowym zacięciem, czyli jakieś trzysta metrów nad lodowcem i dwadzieścia metrów poniżej trójkątnego pola śnieżne-

go. Nasze próby, zjazdy oraz udana wspinaczka objęły trzy czwarte północnej grani, jeden z trzech szlaków, które Maestri opisał jako swoją drogę powyżej przełęczy (opisuje je odmiennie w różnych źródłach: w gazecie *L'Europeo* w kwietniu 1959 r., inna wersja w *La Montagne* z kwietnia 1960 r., a jeszcze inna w *Rivista del CAI* w 1961 roku). Twierdzi, że na odcinku czterystu pięćdziesięciu metrów osadził sześćdziesiąt nitów. Nie znaleźliśmy ich. Pomiędzy próbami Toniego Ponholzera a naszymi rozpoznano trzy czwarte z podanych przez Maestri szlaków. Ani Toni, ani my nie znaleźliśmy żadnych śladów drogi Maestri. Na podstawie tych obserwacji oraz innych faktów jesteśmy przekonani, że pierwszego wejścia na Cerro Torre dokonali Włosi Chiappa, Conti, Ferrari i Negri w 1974 roku zachodnią ścianą. Jeśli ktoś jest zainteresowany tą historią, odsyłam do artykułu Rolando Garibottiego „*A Mountain Unveiled*” („*Góra zdemaskowana*”) w *American Alpine Journal* 1 z 2004 roku.

Ermanno Salvaterra







Paweł Roehrych

## Muztaghata – polski sierpień

**W** dniach 13-15 sierpnia 2005 roku aż sześcioro Polaków stanęło na szczycie Muztaghata (7546 m) w zachodnich Chinach, prowincja Xinjiang. Szczyt atakowały niezależnie dwie grupy: „AKT Watra” i „Annapurna”. 13 i 14 sierpnia na szczyt weszło pięciu wspinaczy z Watry. 15 sierpnia dokonał tego członek grupy Annapurna.

Na prawo Pamir z dobrze widocznym Pikiem Komunizmu (7495 m), na lewo monumentalny grzbiet Kongur Szan (7719 m), jezory lodowców masywu Kun Lun z kilkukilometrowym urwiskiem Koskulak (6956 m), a poniżej trawiaste stopy doliny położonej mniej więcej na wysokości szczytów alpejskich. A żeby wszystko to zobaczyć, trzeba tylko wejść trzy kilometry ponad ostatnie w tych okolicach ognisko cywilizacji. Choć akurat i to ognisko, czyli baza alpinistyczna, jest co najwyżej iskierką i ta cywilizacja w tu-tejszym, ujgurskim wydaniu – pożałujcie Boże...

Jako grupa „Annapurna Klub” w składzie: Rafał Pięta, Paweł Roehrych (KW Warszawa), Marek Skalski i Tomasz Sommer dotarliśmy do wspomnianej bazy na wysokości 4450 m 4 sierpnia. Na drugi dzień założyliśmy pierwszy obóz na wysokości 5200 m, ok. 200 metrów poniżej zwyczajowego obozowiska.

Sam szczyt Muztaghata jest raczej łatwy technicznie, ale odległości pomiędzy kolejnymi obozami dochodzą do 1000 metrów w pionie. Kiedy, jak w naszym przypadku, cały ekwipunek dźwiga się na własnych plecach, wymaga to niemałej siły i wytrzymałości.

Przekonaliśmy się o tym, zmuszeni do założenia dodatkowych dwóch obozów pośrednich (5200 i 6400 m), z których pierwszy pełnił rolę bazy wysuniętej. I bynajmniej nie był to rezultat żelaznej konsekwencji w realizacji przyjętej wcześniej taktyki, ale efekt wycisku, jaki dała nam góra. Tak więc w następnych dniach kolejne obozy powstały na wysokościach 5800, 6200 i 6400 m, a obóz, z którego zamierzaliśmy przeprowadzić atak szczytowy, na wysokości 6800 metrów.

Nie pokrzyżowało naszych zamierzeń całonocne załamanie pogody 6 sierpnia (opady śniegu) ani osłabienie składu na skutek wycofania się Marka; musiał on zawrócić z wysokości ok. 6 600 m w obawie przed odmrożeniami dłoni.

Aby poruszać się na Muztaghata, niezbędne są rakiety śnieżne lub narty. Powyżej obozu drugiego próba chodzenia w rakach to katanga: człowiek co krok zapada się co najmniej po kolana w śniegu. Ostatecznie na miejsce, gdzie zwykle znajduje się obóz trzeci, docieramy 14 sierpnia po południu. Stoi tam już kilka namiotów, i tu spotkamy się z drugą, pięcioosobową grupą z Polski, która w czasie naszego przybycia przebywała powyżej obozu: byli właśnie w trakcie ostatniego ataku i wracali już ze szczytu.

Decydujemy się na atak następnego ranka. Pogoda może się w każdej chwili zmienić, a chcemy uniknąć kłopotów w śniegu w namiotach, jak to się nam wcześniej przytrafiło w naszej ABC.

Jak postanowiliśmy, tak uczyniliśmy, jednakże nie bez kłopotów. Z wysokości ok. 7200 m



do obozu trzeciego zwracają Rafał i Tomek, dalsze podchodzenie kontynuuję więc samotnie. Na szczycie Muztaghata – 7546 m – staję około 16-ej.

Nasze przewidywania co do aury okazują się trafne: ładna pogoda kończy się. Gdy wracam ze szczytu, zrywa się wiatr i podnoszą mgły. Do trójki trafiam już w mleku, na szczęście dzięki gps-owi bez większych problemów. Następnego dnia pakujemy się do zejścia. Na atak spowitego mgłą szczytu decyduje się trzech Niemców (nie mam pojęcia, czy im się udało). Gdy spoglądaliśmy na szczyt już z bazy, bynajmniej nie wyglądał zachęcająco.

Transport powrotny do domu mieliśmy nagrany dopiero na koniec sierpnia, zostało nam więc kilka dni. Postanowiliśmy na własną rękę przemierzyć gościnną chińską Ujgurię w kierunku sąsiedniej Kirgizji. Przygody, które przy tej okazji przeżyliśmy, to już temat na inną opowieść.

Relacje uczestników wyprawy AKT Watra można znaleźć na następujących stronach internetowych:

<http://www.wyprawa.net/aktualnosci.php?je=pl&miesiac=8&rok=2005>  
<http://republika.pl/pawmitur/muztagata.html>





# Trochę wspomnień i refleksji z okazji 25-lecia wspinania na Trasie Łazienkowskiej, czyli jak to się zaczęło.

Niniejszy artykuł powstał z inicjatywy, a nawet pod naciskiem Artura Paszczaka. Ponieważ pisanie artykułów wspomnieniowych jest dla mnie zajęciem równie pasjonującym co pisanie harlequinów, więc zabrałem się za to z mniej więcej z czteroletnim opóźnieniem. Ale co się odwlecze... Może nawet dobrze, że się odwlekło, bo akurat wypada okrągła rocznica. W tym roku mija 25 lat aktywności wspinaczkowej na czołowym warszawskim murku wspinaczkowym, położonym przy Trasie Łazienkowskiej w okolicach Placu na Rozdrożu.

Trasa Łazienkowska to najstarsza warszawska ścianka wspinaczkowa. Wspinanie w tym rejonie rozpoczęło się w latach 1980-81. Wspinałem się tam dość regularnie w latach 80-tych. Trasa Łazienkowska i podwarszawskie bunkry, to były jedne z pierwszych jeśli nie pierwsze w Polsce tzw. ogródki bulderowe, w których w świadomy sposób uprawiano buldering w pełnym znaczeniu tego słowa. Ktoś kiedyś poszukiwał w jakimś artykule definicji bulderingu. Moim zdaniem definicja bulderingu jest dość prosta. Buldering zaczyna się wtedy, gdy jakoś wspinania, która siłą rzeczy sprowadza się do poszczególnych ruchów, staje się wartością samą w sobie. W bulderingu liczy się przede wszystkim jak, a dopiero na dalszym miejscu gdzie. Buldering stanowi niewątpliwie samą esencję wspinania. Pojawia się samoistnie i w naturalny sposób, kiedy wspinacze skazani są z jakiegoś powodu na niskie formy skalne. Wtedy jakoś wspinania (trudności, dynamika, styl, charakter preferowanych formacji skalnych, piękno i harmonia przechwytów) zaczyna dominować nad wysokością.

W roku 1980, kiedy zaczynałem się wspinać, w polskim wspinaniu najważniejsza była wysokość. Punkt odniesienia stanowiły Tatry, Alpy, Himala-

je. Słowo buldering było praktycznie nieznane. Duch prawdziwego bulderingu jeszcze się nie pojawił. Wspinanie na bunkrach czy w skałkach nie było traktowane zbyt poważnie i stanowiło raczej formę treningu przed tak zwanymi prawdziwymi górami. Ważne były góry, nie skałki. Im wyższe, tym lepiej. Taka wtedy obowiązywała wspinaczkowa mentalność. W skałkach czy nawet na bunkrach liczyło się zrobienie drogi, a nie finezja ruchów. Chodziło o to, by być „zdobywcą” na wzór tatrzański. Osoby wspinające się były nazywane taternikami lub alpinistami – to była wyższa forma poznania. Wszystko było dogłębnie przesiąknięte „taternictwem” – od myślenia począwszy, na słownictwie i ubiorze kończąc.

W takich właśnie warunkach rozpoczynało się wspinanie na Trasie Łazienkowskiej. Początki były „taternicze”, tzn. w różnych miejscach Trasy robiono drogi i nadawano im wyceny w skali tatrzańskiej (IV, V, V+ itd.). Rysowano nawet strzałki z wycenami. Ale dość szybko pojawił się nowy styl. Zaczęliśmy pomijać pewne chwyt i wymyślać specjalne, szczególnie atrakcyjne sposoby przejścia danej drogi czy nawet wykonania konkretnych przechwytów. Ten nowy styl wspinania miał swoich zwolenników jak i przeciwników. Pamiętam rozmowy typu: „ale dlaczego ja mam pomijać jakieś chwyt, to jest nienaturalne, w Tatrach się tak nie robi”. Niektórym było naprawdę trudno przekroczyć tradycyjną tatrzańską aksjomatykę. Tak więc na Trasie pojawił się buldering, zgodnie z zasadą samoistnego powstawania bulderingu: wysłać kilku młodych ambitnych wspinaczy na bezludną wyspę, na której są głazy, a powstanie buldering. Bezludna wyspa symbolizuje tutaj nieskażone poglądy. Nikt z nas nie czytał wówczas ani artykułu Gilla („The Art of Bouldering”), ani też nie słyszał o jakichś istniejących zasadach bulderingu.

Słowo buldering weszło do naszego języka wspinaczkowego nieco później, ale w znaczeniu krótkich wspinaczek, nie niosąc za sobą konkretnych, ustalonych przez kogoś zasad. Te zasady wypracowaliśmy sami. Pamiętam pewną rozmowę z Leszkiem Milczarkiem, która z perspektywy czasu jest dla mnie symbolem pojawienia się nowego stylu wspinania. Zapytałem go, co robi w wakacje. Gdzie będzie się wspiął. Odpowiedział: siedzę na bunkrach. Ta odpowiedź dla zdecydowanej większości ówczesnego warszawskiego środowiska wspinaczkowego była zupełnie niezrozumiała, wręcz kretyńska. Jak można, mając wolny czas, siedzieć na bunkrach, zamiast jechać w jakieś porządne góry? Ale dla nas, przedstawicieli tzw. nowej fali (jak później nazwano to pokolenie wspinaczy) wyglądało to inaczej. Dlaczego nie? Czy zrobienie kilku sytych przechwytów na bunkrach lub na Trasie jest czymś mniej wartościowym, niż zrobienie na przykład filara Walkera czy wejście na Annapurnę? To był wtedy zupełnie nowy sposób myślenia. Tak naprawdę był to początek prawdziwej rewolucji w mentalności wspinaczkowej, której efekty pojawiły się dopiero później i są widoczne dzisiaj. Wówczas wspinaczka skałkowa w Polsce nie była niezależną dyscypliną. Była raczej takim nieplanowanym i chyba niezbyt chcianym dzieckiem, i nie było wiadomo, kto i jak ma je wychować. Całe szczęście, że to dziecko wychowało się samo, czyli na ulicy. Było parę takich „ulic” w Polsce. Jedną z nich była Trasa Łazienkowska.

Myślę, że chyba największą zasługą pokolenia wspinaczy nowej fali było zainicjowanie w Polsce prawdziwego bulderingu. Wspinaczka skałkowa, w mniej lub bardziej tatrzańskim duchu i formie, istniała już w Polsce znacznie wcześniej. Ale duch prawdziwego bulderingu pojawił się w Polsce właśnie wtedy – na początku lat 80-tych, za sprawą wspinaczy z pokolenia nowej fali. Muszę przyznać, że kiedy w Warszawie zaczęły pojawiać się sztuczne ścianki, odczuwałem pewną satysfakcję, obserwując zagorzałych niegdyś taterników, wspinających się w bulderowym stylu.

Ala wracamy do wspomnień z Trasy. Wspinanie na Trasie w pierwszej połowie lat 80-tych było zajęciem dość ryzykownym. Był to okres stanu wojennego i lat bezpośrednio po nim. Wspinanie się na Trasie Łazienkowskiej było wówczas traktowane jako wykroczenie skierowane przeciwko bezpieczeństwu państwa (czytaj: systemu komunistycznego). Wielokrotnie interweniowała policja, która wtedy miała jeszcze tę ładniejszą nazwę:

milicja. Dziesiątki razy byliśmy spisywani. Szczególnie niebezpiecznie było w okolicach tzw. rocznic (13 grudnia, 3 maja itd.). Wtedy traktowano nas jak regularnych dywersantów, instalujących ładunki wybuchowe czy rozwieszających antypaństwowe hasła. Takich właśnie gadzetów poszukiwano w naszych skromnych plecaczkach (przeszukiwano w nich porządku dziennym). Zdarzało się, że kogoś zakuwano w kajdanki. Tak więc wspinanie na Trasie było działalnością antypaństwową.

Jeśli chodzi o ludzi wspinających się na Trasie, to na początek – w latach 80/81- niewielu było stałych bywalców. Oprócz mnie i Marka Kurnatowskiego przychodziło dwóch studentów fizyki, których imion niestety nie pamiętam i kilku chłopców w moim wieku, którzy chyba szybko przestali się wspinać. Od czasu do czasu wpadał nieżyjący już Paweł Bujakiewicz, Ruda z Orzechową (lub odwrotnie), Pilawa, Wolanin i parę innych osób. Wspinanie odbywało się wtedy głównie na dużej ścianie przy przystanku autobusowym. Była to prawdopodobnie pierwsza w Polsce sztuczna ścianka wspinaczkowa z publiką. Początkowo wspinaliśmy się z górną asekuracją instalowaną z barierki, ale w miarę nabierania wprawy, górna asekuracja wyszła z użycia i zastąpiły ją żywece. W 1981 'otworzyliśmy' małą ściankę po drugiej stronie placu. Wspinanie odbywało się głównie wieczorem. Pora roku nie miała znaczenia. Wspinanie w temperaturze 0 lub nawet minus kilka stopni Celsjusza (bez rękawiczek) było rzeczą normalną. Tak samo było wtedy na bunkrach. Wspinanie trwało nieprzerwanie przez cały rok. Dopiero kiedy duże ilości śniegu uniemożliwiały wspinanie, wtedy odpuszczaliśmy. Może brzmi to obecnie dość egzotycznie, ale faktycznie tak się to wtedy odbywało.

Z czasem zaczęło przychodzić na Trasę coraz więcej osób. Gdzieś około roku 83 uformowała się silna grupa wspinaczkowa o kryptonimie „Higway Bathroom Club”. Były nawet koszulki okolicznościowe przygotowane bezinteresownie przez Marcina Kwaśniewskiego (później zajął się szyciem kurtek). Trzon grupy tworzyli: bracia Kwaśniewscy (zbieżność nazwiska z nazwiskiem prezydenta jest przypadkowa), Piotr Włodarczyk, Michał Prądyński, Marcin Malczak (obecnie w USA), Michał Buczyński czyli Bucza, Piotr Kopczyński, Jurek Zdanowski, Adaś Biedrzycki. Oprócz tej grupy aktywnie działała na Trasie grupa pięknych pań: Kryśka Szmid, Ilona Grzegorzek (obecnie w Kanadzie), Danka Nowakowska



(obecnie Kubań), Hanka Nowotnik (nazwiska panieńskiego niestety nie pamiętam). Na Trasę przychodzili również Zbyszek Krośkiewicz, Damian Wądołowski, Michał Nowak, Waldek Kasinow i wiele innych osób. Mniej więcej w połowie lat 80-tych zaczął się pojawiać młody ambitny licealista, który dość szybko otrzymał przydomek Bulderowiec (w skrócie Bulder). Był to wyraz uznania za jego szczególnie zaangażowanie w tworzenie nowych bulderów na Trasie. Chodzi tu oczywiście o Pawła Haciskiego. Jego bulderowe zaangażowanie było naprawdę wyjątkowe. O Pawle mówiło się, że najpierw mówi: „Chodź, pokażę ci nowy bulder”, a dopiero później „cześć”. Leszek Milczarek wpadał na Trasę od czasu do czasu głównie w celu przetestowania najnowszych bulderów. Sam też wymyślił kilka własnych. Marek Fabijanowski przychodził na Trasę raczej w celach towarzyskich. Niezbyt mu leżały techniczne ściankowe układowki. Specjalizował się w okapach. Był niewątpliwie prekursorem przewieszonego bulderingu w Polsce. Miał swój warsztat wspinaczkowy na stadionie Skry. Jego „studio” składało się z kilku przewieszonych drabinek oraz paru betonowych kamieni z otworami, które podpinał sobie do uprząży. Jego trening robił duże wrażenie na widzach. Przypominało to trochę scenę treningu w rzeźni w filmie *Rocky*. Niektóre odpowiedzi Marka na pytania dotyczące jego treningu stały się wręcz legendarne. Na przykład: Ile dajesz ostatnio z jednej? Ale z jakim obciążeniem?

Na Trasie bywali też goście z innych rejonów Polski. Wizyta na bunkrach i na Trasie, to były obowiązkowe punkty programu wspinaczkowego wyjazdu do stolicy, tak jak dla wycieczek szkolnych zwiedzanie Pałacu Kultury. Osobiście „oprowadzałem” po Trasie Jacka Zaczekowskiego z Gliwic i Jurka Brodę z Łodzi. Byłem też na Trasie z naszą czołową himalaistką Wandą Rutkiewicz w ramach robienia jakiegoś filmu dla austriackiej telewizji.

Jeśli chodzi o ówczesne buldery na Trasie to można powiedzieć, że trzymały dobry poziom. Myślę, że trudnością nie ustępowały najtrudniejszym wówczas miejscom o charakterze ściankowym w polskich skałkach. Ale czy w polskich skałkach były wówczas jakieś bardzo trudne miejsca, to już inne pytanie. Drogi wysoko wyceniane w skałkach posiadały raczej ciąg trudności niż jakieś szczególnie trudne momenty. Bardzo popularny w latach 80-tych był trawers małej ścianki. Poziom obcyku, jaki prezentowali niektórzy zawodnicy (sam też nie będę udawał święte-

go), mógł z powodzeniem konkurować z Sadyśówką na Zakrzówku w wykonaniu... zostawmy w tym miejscu niedomówienie. W dobrym tonie było zrobić trawers kilka, kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt razy pod rząd w tę i z powrotem w charakterze rozgrzewki. Trawers był robiony na kilku poziomach trudności. A także z zawiązanymi oczami. Zdaje się, że nawet przy użyciu tylko jednej ręki. Z nudów przychodziły nam do głowy różne rzeczy...

Jak już wspominałem, wspinanie na Trasie rozkręcało się w godzinach wieczornych. Trwało do godziny 22-23. Zdarzało się, że nasze „sesje” wspinaczkowe były kontynuowane w jednej z okolicznych knajp. Czasami takie wyjścia zdarzały się na ogólne życzenie wspinających się osób. Padało hasło „idziemy do knajpy” i szliśmy do Kawiarni na Rozdrożu lub Świtezianki, ubrani w dresy, budząc zdziwienie kelnerek naszym niezbyt dancierowym wyglądem.

Lata 80-te są powszechnie uważane za jeden z najczarniejszych okresów w powojennej historii Polski. Kiedy myślę o tamtych czasach i o naszym wspinaniu na Trasie, mam skojarzenia z filmem *Begniniego Życie jest piękne*. Ten film pokazuje, jak można tę samą rzeczywistość odbierać na dwa różne sposoby w zależności od nastawienia. Myślę, że trochę podobnie było wtedy z nami i chyba ogólnie z ludźmi, którzy mieli jakieś pasje. To dawało pewien dystans rzeczywistości i pozwalało w miarę pogodnie przetrwać ten trudny czas. Taka postawa była wtedy określana terminem „emigracji wewnętrznej”. To, co dla mnie osobiście jest najcenniejsze z okresu wspinania na Trasie, to oczywiście nie buldery, których dzisiaj zapewne nie potrafiłbym nawet odtworzyć, ale ludzie i atmosfera, jaka wtedy panowała.

A panowała tak zwana zdrowa sportowa rywalizacja i koleżeństwo. Wyjątki potwierdzały regułę. Byliśmy grupą przyjaciół, i co najważniejsze, pozostaliśmy nimi do dzisiaj, mimo różnych kolei losu. Jest to warte podkreślenia, bo jak wiadomo, we wspinaczce liczą się nie trudności dróg, ale przede wszystkim ludzie.

Przestałem się wpinąć na Trasie gdzieś pod koniec lat 80-tych. W latach 90-tych zdarzyło mi się jeszcze parę razy zajrzeć na Trasę w celach towarzyskich. Spotykałem przedstawicieli następnego pokolenia wspinaczy, kolejną ekipę warszawskich bulderowców: Michała Górzynskiego, Dawida Kaszlikowskiego, Tomka Nowosielskiego i innych. Z tego co wiem, Trasa Łazienkowska nosi obecnie nazwę „ołowianka”. Jest to zapewne aluzją

do wysokiej zawartości ołowiu w powietrzu. Ciekawa rzecz, ale w naszych czasach nikt specjalnie nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. A jeździły wtedy Trasą znacznie bardziej „ołowiotwórcze” pojazdy niż obecnie. Ale podobno młodzież w Polsce jest teraz mniej odporna niż to było 20 lat temu, kiedy to komuna swoją ojcowską ręką trzymała wszystkich za twarz.

Jest jeszcze jedno interesujące moim zdaniem zjawisko związane z obecnym pokoleniem warszawskich wspinaczy. Oglądałem niedawno stronę internetową poświęconą wspinaniu w Warszawie. Wynikało z niej, że takie miejsca jak bunkry, Trasa i innego rodzaju murki wcale nie straciły na popularności. Młodzi i utalentowani wspinacze z Warszawy nadal udzielają się na bunkrach

w Janówku, tworząc coraz bardziej ambitne przystawki. Wydawać by się mogło, że to właśnie nasze pokolenie żyło w „klatce”, a teraz, skoro każdy może mieć paszport, po co siedzieć w Janówku? Ale ten pozorny paradoks chyba dość łatwo wytłumaczyć. Odpowiedź już zresztą pojawiła się w tym tekście. Tłumaczy go moim zdaniem pierwsza zasada bulderingu. Najważniejsza jest jakość, a dopiero później miejsce. Nie wspinam się na Trasie od kilkunastu lat, ale zawsze, kiedy jadę samochodem przez Plac na Rozdrożu i widzę sylwetki wspinających się ludzi, czuję lekkie łaskotanie w okolicach serca. To chyba znak, że mnie to jeszcze trochę obchodzi. Chyba jest nieco prawdy w powiedzeniu, że wspinaczem jest się do końca życia.

## „Orzeł K. W.” Nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2005.

Tegoroczna lista nominowanych w kategorii „przejścia górskie” do nagrody „Orzeł KW” za rok 2005 podobnie, jak w ubiegłym roku składała się z „mocnych” nazwisk i „jeszcze mocniejszych” przejść. Taka sytuacja oczywiście bardzo cieszy i tylko wypada życzyć równie mocnych nominacji w przyszłorocznej edycji nagrody. A w tym roku na liście nominowanych można było znaleźć następujące kandydatury:

Dawid Kaszlikowski – za wytyczenie drogi Fantasia 7b+/c 700m w Taghii (Atlas, Maroko) w zespole z Elіз Kubarską i Przemkiem Klimkiem i za pierwsze wejście na Lotos Peak (Himalaje, Indie) drogą VIII- M6 750m z Michałem Królem (także KW Warszawa), Marcin Miotk – za solowe wejście bez tlenu, jako pierwszy Polak na Mount Everest (8850 m) od strony tybetańskiej, Piotr Morawski – za pierwsze zimowe wejście na Shisha Pangma 8027m w zespole z Simone Moro (Włochy), Janusz Porżyński i Paweł Przybysz – za przejście Centralnego Filara Freney na Mont Blanc w Alpach.

Po burzliwej dyskusji, Zarząd postanowił w kategorii „przejścia górskie” przyznać nagrodę „Orzeł KW” za rok 2005 – **Dawidowi Kaszlikowskiemu** za wytyczenie drogi Fantasia 7b+/c 700m w Taghii (Atlas, Maroko) i za pierwsze wejście na Lotos Peak (Himalaje, Indie) drogą VIII- M6 750m. W uzasadnieniu przyznania nagrody podkreślamy przede wszystkim różnorodność podejmowanych przez Dawida i realizowanych z sukcesem celów wspinaczkowych w 2005 roku.



W kategorii „przejścia skałkowe” nominowani do nagrody byli:

Jakub Ziółkowski za przejście drogi Tyrannosaurus Rex VI. 7 w Podlesicach, Tadek Kieniewicz za przejście w wieku 16 lat drogi Obrany ze skórki VI. 4+/5 i innych o zbliżonych trudnościach.

W kategorii „przejścia skałkowe” Zarząd postanowił uhonorować nagrodą „Orzeł KW” za rok 2005 – **Tadka Kieniewicza** za osiągnięcie w wieku 16 lat poziomu VI. 4+/5.

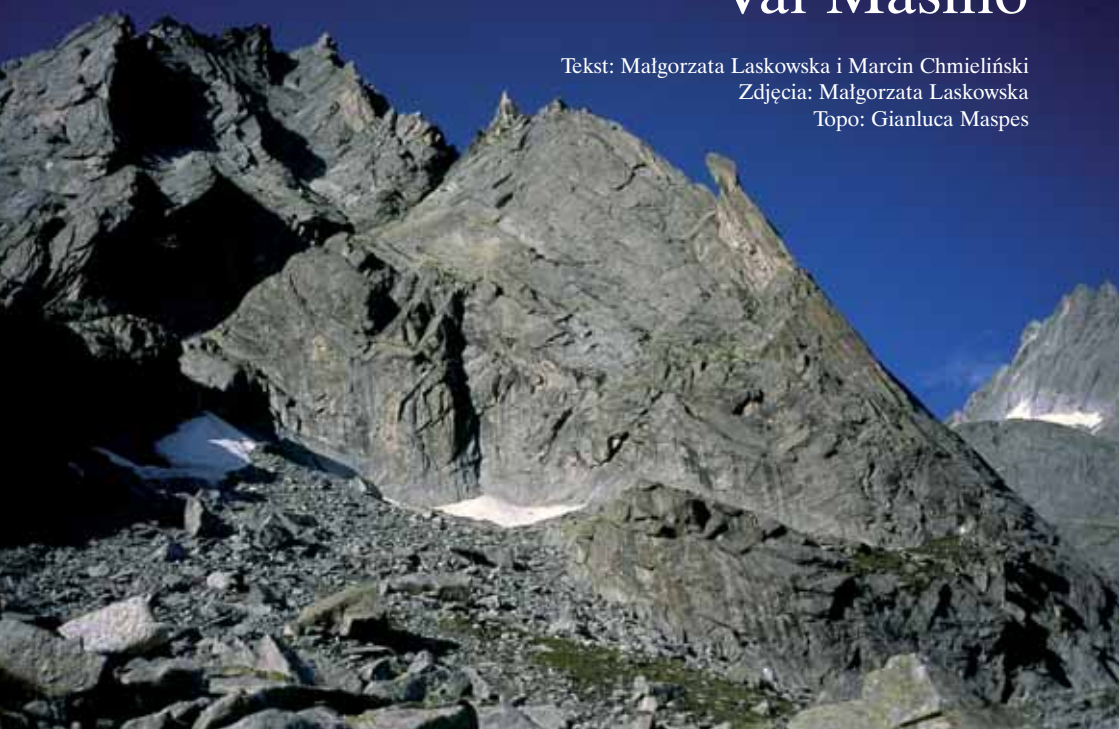


Serdeczne gratulacje dla obu zwycięzców a także wszystkich nominowanych do nagrody. Nagrody dla laureatów nagrody „Orzeł KW” ufundowała niezawodna firma Mount X.

Zarząd KW Warszawa

# Val Masino

Tekst: Małgorzata Laskowska i Marcin Chmieleński  
Zdjęcia: Małgorzata Laskowska  
Topo: Gianluca Maspes



Dolina Val Masino znajduje się w północnych Włoszech, w Alpach Retyckich. Od północy osłania ją grupa górską Bergell. Punktem wypadowym jest miasteczko San Martino. Dolną część Val Masino stanowi Val di Mello, górną – wysokogórskie hale o charakterze alpejskim. Val di Mello jest świetnie znana polskim wspinaczom i chętnie przez nich odwiedzana. Stanowi albo cel sam w sobie, albo wariant awaryjny, często bowiem utrzymuje się tam piękna pogoda, podczas gdy w okolicznych górach leje deszcz. Dolina oferuje setki gładów wymarzonych do bulderingu, klasyczne drogi skalne, które nieraz wymagają pewnej odporności psychicznej oraz wspinanie bigwallowe na ścianie Prezipizio degli Asteroidi. A to wszystko w odległości od 5 minut do godziny podejścia z parkingu w dolinie. I być może to właśnie sprawia, że nikomu nie chce się dźwigać ciężkiego worka do dolin oddalonych o 3,5 – 4 godziny marszu i że dociera tam tak niewielu naszych rodaków.

W tym roku postanowiliśmy pokonać własne lenistwo i pokusy czające na nas na dole. Zarzu-

ciliśmy plecaki i ruszyliśmy w nieznany nam teren. Mieliliśmy szczęście – pogoda nas rozpieszczała. Podczas dwutygodniowego wyjazdu tylko raz padało, co przywitaliśmy z wyraźną ulgą. Wspinanie okazało się fantastyczne. Morze litego granitu, jakości niczym nie ustępującej skale w Bergell. Wróciliśmy zmęczeni, ale z głowami pełnymi wrażeń. Spróbujemy was zachęcić do podążenia naszymi śladami

## Val Porzelizzo

Aby się dostać do Val Porzelizzo, trzeba podjechać samochodem do uzdrowiska Bagni di Masino. Jest tam spory parking, na którym należy zostawić samochód. Z tego miejsca odchodzi szlak do schroniska Gianetti, które będzie naszą bazą wypadową. Podchodząc musimy pokonać 1350 m przewyższenia. Czas podany w przewodniku to 3,5 godziny, jeżeli jednak idziemy na kilka dni i niesiemy ze sobą solidny plecak, musimy przyjąć odpowiednią poprawkę. Schronisko jest czynne

tylko w sezonie, w innych porach roku do dyspozycji gości jest Winterraum. Val Porzelizzo zamykają od północy masywy Piz Badile i Piz Cengalo. W dolinie znajdziemy zarówno długie, kilkunastowyciągowe drogi o charakterze alpejskim, jak i kilkuwyciągowe drogi skalne, świetnie nadające się na dni z mniej pewną pogodą. W górnych partiach doliny przez cały sezon zalega śnieg, jeżeli więc planujemy wspiąć się wyżej, mogą przydać się raki

## Piz Badile

Południowa ściana tego znanego szczytu nie jest tak uczęszczana jak północna i zachodnia, oferuje jednak dwie interesujące drogi. Pierwsza z nich, klasyczna *Via Molteni* (V+, 450 m), to droga autorstwa Mario Molteni, jednego z towarzyszy Ricardo Cassina podczas pierwszego przejścia północnej ściany Piz Badile. Druga droga, *Toto Riina*, pochodzi z 1993 roku i ma charakter lodowo-mikstowy (VI/VI+, lód/mikst 50-60°, 400 m). Na obie drogi oprócz zestawu standardowego zabieramy haki, a na *Toto* również sprzęt do wspinięcia w mikście.

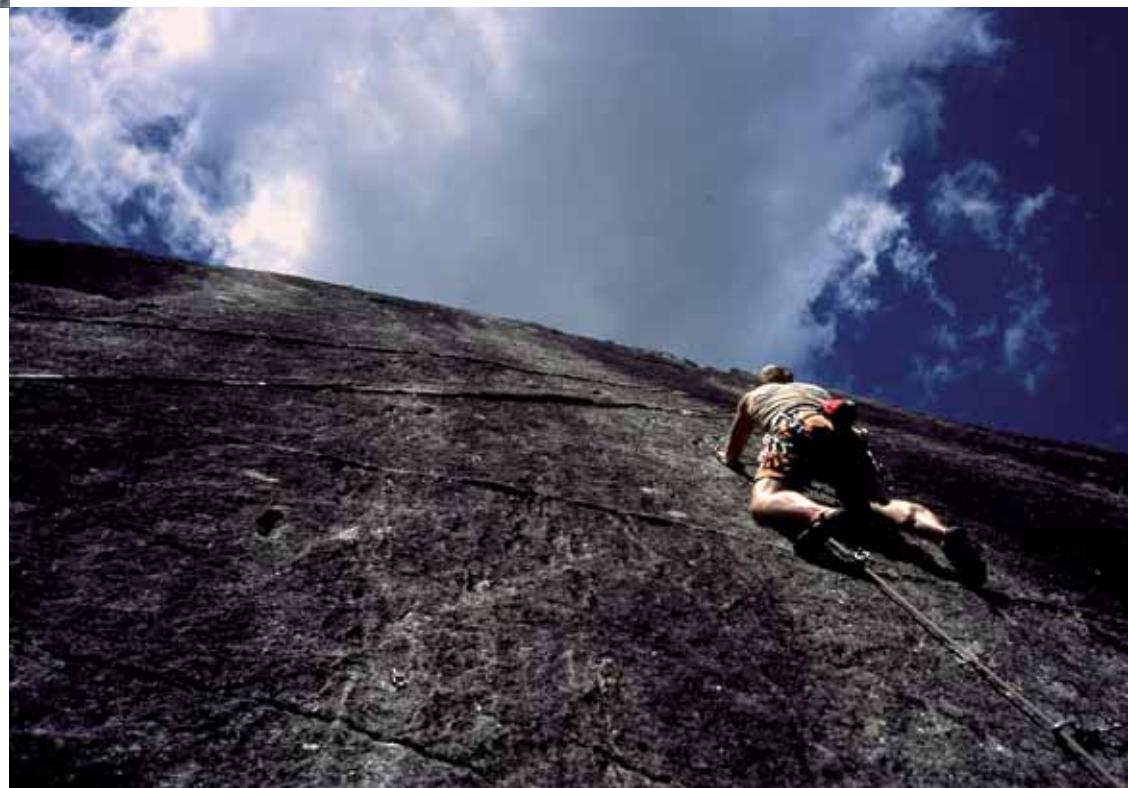
Droga zejściowa z Piz Badile wiedzie środkiem południowej ściany (ok. 350 m. deniwelacji, miejsca III). Warto pamiętać o tej ewentualności również, gdy weszliśmy na szczyt ścianą północną lub zachodnią, a z jakiegoś powodu nie możemy skorzystać z drogi zjazdowej Nordkantem.

## Punta Angela

Turnia ta stanowi zwieńczenie długiej grani opadającej z Piz Cengalo na stronę południową. Propozycje dróg zlokalizowanych po zachodniej stronie grani:

*Via Vinci* (VI, 350 m, 12 wyciągów) piękna droga klasyczna, prowadząca w górnej części ostrzem grani. Wejście ewidentne, rozpoczynające się terenem trójkowym u podnóża głównego spiętrzenia grani nieco w prawo od linii spadku wierzchołka. Powrót ze szczytu na stronę zachodnią stałą drogą zjazdową.

*Via dei Morbegnesi* (VI+, 350 m, 8 wyciągów) prowadzi w linii spadku wierzchołka. Początek terenem czwórkowym pod charakterystyczny długi okap (kierujemy się w stronę jego najwyższego







## Punta Torelli

Najczęściej uczęszczaną drogą na ten szczyt jest *Via Mauri-Fiorelli* (VI-, 400 m, 11 wyciągów). Jest to klasyczna, ładna droga, wiodąca ewidentnym filarem. Podejście po płatach śniegu (mogą przydać się raki). Wejście w drogę wielkim zacięciem z lewej strony filara. Potem wspinamy się aż do jego końca. Po dojściu do krawędzi filara wprost w górę ostrzem. Droga wyposażona w stanowiska z haków, haki przelotowe, znajdziemy też kilka spitów. Zabieramy friendy, kości i koniecznie kilka pętli. Na szczycie znajduje się krzyż. Schodzimy w lewo wykopczykowaną ścieżką. Dochodzimy do miejsca gdzie grańka zejściowa jest przecięta wyraźnym żlebkiem. Schodzimy nim kilka metrów w dół, a następnie trawersujemy w lewo półkami (kopczykami) aż do przełęczy. Stąd w dół po płatach śnieżnych.

Inną polecaną drogą jest *Selen* (6b, 380 m, 10 wyciągów). Jest to jedna z nowszych dróg w dolinie, wyposażona w stanowiska i część przelotów. Wejście z prawej strony ściany, prawym ograniczeniem połączonych płyt stanowiących jej dolną część. Pod wierzchołkiem droga ta łączy się z *Via Mauri-Fiorelli*. Schodzimy jak poprzednio.

## Vecchia

Vecchia to charakterystyczna iglica oddalona o pół godziny od schroniska. Znajdziemy tam około 10 dróg o długości 250 m każda i trudnościach od VI- do 6c. Wszystkie drogi są wyposażone do przejść bez młotka.

## Punta Enrichetta

Skała ta, zlokalizowana w środkowej części doliny Porzelizzo, 25 minut od schroniska, ze względu na bardziej skalowy charakter jest godna uwagi w dni wypoczynkowe. Oferuje wspinanie w litym granicie o niespotykanej rzeźbie i kolorystyce, między innymi z pomocą wyerodowanych chwytów wystających z litej skały. Do wyboru mamy około 10 dróg o długości do 4 wyciągów i trudnościach od 5b do 6c.

punktu). Stąd wybieramy gęsto ubezpieczony lewy wariant, niegdyś hakowy (prawym wariantem, częściowo ospitowanym, wiedzie droga *Carosello*, VII). Droga jest ubezpieczona hakami, do jej pokonania wystarczy standardowy zestaw kości i friendów.

Warto dodać, że również po wschodniej stronie Punta Angela mamy kilka interesujących propozycji, między innymi *Gran Diedro* (Wielkie Zacięcie) (VII-, 500 m) oraz *Dalai Lama* (VII, 460 m).

## Val di Zocca

Podejście do schroniska Allievi-Bonacossa z plecakiem jest równie uciążliwe, jak do schroniska Gianetti (1400 m przewyższenia, 4 godziny). Z San Martino kierujemy się do doliny Val di Mello (w sezonie letnim kursuje autobus z San Martino do parkingu w dolinie, cena – 1 euro). Po 30 minutach marszu od parkingu dochodzimy do baru Luna Nascente. Za nim znajdziemy strzałkę kierującą nas do Val di Zocca. Stąd ewidentną ścieżką ostro pod górę. Pozostawienie samochodu przy wlocie doliny Val di Mello jest zabronione, możemy go więc zostawić przy campingu Sasso Remeno lub na parkingu w San Martino.

Widoki i możliwości wspinaczkowe doliny Val di Zocca z nawiązką wynagradzają trudy podejścia. Mamy tu do wyboru skałki blisko schroniska, długie klasyki oraz pełen wybór dróg, od modernistycznie obitych do wymagających, o dużej klasie i problematycznej asekuracji. Kilka propozycji:

### Punta Allievi (podejście 30-40 min.)

*Filar Gervasuttiego* (VI, 600 m, 18 wyciągów) to klasyk doliny. Droga długa, świetnie nadająca się dla osób o mniejszym doświadczeniu alpejskim ze względu na możliwość wycofania się praktycznie z każdego miejsca. Wejście z trawnika z lewej strony filara. Wspinamy się bez młotka – podob-

nie jak w całym rejonie, najlepszą asekurację mamy z friendów. Schodzimy ze szczytu kierując się w lewo, łagodnym zboczem, do przełęczy. Z niej w dół łatwym choć zagmatwanym i miejscami stromym zejściem znacznym kopczykami i znakami malowanymi czerwoną farbą (miejsca I).

*Inschallah* (6b+, 500 m, 17 wyciągów) jest trudniejsza od poprzedniej, wiedzie pięknymi płytami ściany południowo-wschodniej. Start na lewo od drogi *Cosi e Se Vi Pare*, widoczne spity. Stanowiska i asekuracja również ze spitów, dodatkowo bierzemy zestaw standardowy, tzn. kości i friendy. Możliwy jest zjazd tą samą drogą, ale lepiej jest zejść tak jak po przejściu filara Gervasuttiego.

*Via Decadente* (VI+, 280 m) wiedzie na lewo od Filara Gervasuttiego i kończy się na jego pierwszej charakterystycznej turnicy. Start w najniższym miejscu filara pod wyraźnym, przewieszonym zacięciem biegnącym w prawo (pod trawnikiem, z którego wchodzimy w Filar Gervasuttiego). Potem przecinamy drogę Gervasuttiego i kontynuujemy z lewej strony ostrza filara. Na drodze tej możemy potrzebować haków. Z turnicy zjeżdżamy w prawo do drogi Gervasuttiego i nią w dół z pomocą stałych stanowisk.

*Cosi e Se Vi Pare* (6b+, 620 m, 15 wyciągów) to droga długa, piękna i wymagająca. Zaczyna się na prawo od drogi *Inschallah* i krzyżuje się z nią w górnej części. Droga jest częściowo wyposażona w spity i haki (tylko w trudnościach). Oprócz zestawu standardowego zaleca się zabrać kilka haków (wyposażenie pochodzi z 1988 r., więc okres







gwarancji na osadzone punkty już minął). Zejście tak jak z filara Gervasuttiego.

### Punta Rasica (podejście 1godz.)

*Via Bramani* (IV+, 900 m) to droga klasyczna z 1935 roku. Charakterem i długością przypomina Nordkant na Piz Badile. Wejście w ścianę kominem z lewej strony amfiteatru stanowiącego dolną część ściany. Potem trawersujemy w prawo płytami pod środkowy filar i trzymając się jego prawej strony, wchodzimy na grań szczytową. W razie konieczności odwrotu spod grani szczytowej musimy dojść do wyraźnej półki, którą trawersujemy w prawo. Tu dochodzimy do stanowiska kończącego drogę *Lady Di* i wycofujemy się środkiem ściany korzystając ze stałych stanowisk.

*Lady Di* (6b, 450 m, 11 wyciągów) to nowsza propozycja, zaliczana do najpiękniejszych dróg masywu. Zaczyna się w środkowej części ściany, w miejscu, gdzie płat śniegu podchodzi najwyżej (spity). Wyposażona jest do przejścia bez młot-ka.

### Pizzo Torrone Occidentale (podejście 1godz.)

*El Diablo* (7a+/7b, 1xA0, 400 m, 10 wyciągów) i *Complicazioni Collaterali* (7a, 300 m, 6 wyciągów) to drogi równoległe do siebie. Biegają prawą stroną ściany, charakterystycznym pasem żółtej skały poprzecinanych przewieszkami. Obie drogi są wyposażone w stanowiska i sporo spitów. Na *El Diablo* bierzemy pełen komplet friendów, natomiast na *Complicazioni* głównie friendy małe i średnie. Powrót zjazdem drogą *Complicazioni Collaterali*.

*Gurosan* (VI, 400 m, 9 wyciągów) wiedzie płytami środka ściany. Jest łatwa do znalezienia dzięki spitom. Biegne pięknym i niezbyt trudnym terenem, cały czas w trudnościach VI-lub VI. Droga jest w pełni wyposażona, trzeba zabrać 2-3 średnie friendy, które mogą się przydać, gdyby na ostatnim wyciągu zalegał płat śniegu. Zjazdy drogą, pierwszy zjazd z przewieszzonej turnicy po prawej stronie drogi, przy jej krawędzi.

*Meloni-Maspes* (VI, 300 m, 7 wyciągów) prowadzi lekko skośną rysą biegnącą przez całą wysokość ściany. Start na lewo od *Gurosan*,



z górnej krawędzi płata śniegu. Droga jest wyposażona w stanowiska, musimy zabrać kości i friendy. Najwygodniej zjeżdżać drogą *Gurosan*.

*Filar Merizzi-Miotti* (V, 430 m, 10 wyciągów) ogranicza ścianę z prawej strony, od południa, droga, która nim wiedzie, należy do najbardziej uczęszczanych w dolinie.

### Costiera dell'Averta (ok. 40 min od schroniska)

*Lapis Lazzuli* (6a+, 280 m) biegnie głównie rysami. Wyposażona jest w stanowiska i kilka punktów przelotowych. Przydaje się pełen zestaw friendów, do nr 4. Start nieco na lewo od najniższego punktu lewego (dolnego) spiętrzenia w równoległe rysy.

*Top Ten* (6b, 350 m, 8 wyciągów) to bardzo ładna droga o płytowym charakterze, zaczyna się nieco na prawo od najniższego punktu prawego spiętrzenia (spity). Jest wyposażona w stanowiska i spity, przydaje się kilka friendów oraz pętla.

*Scora Wora* (6b+/6c, 350 m, 10 wyciągów) zaczyna się na lewo od *Top Ten*, iść w kierunku haka z pętlą. Droga wyposażona jest w stanowiska i częściowo ubezpieczona, choć odległości między spitami są czasem znaczne. Zaleca się zabrać komplet kości i friendy.

Z *Costiera dell'Averta* schodzimy w prawo do przełęczy *Passo dell'Averta* lub zjeżdżamy drogą *Top Ten*.

Dodatkowo w rejonie turni Quota 3012 górującej bezpośrednio nad schroniskiem mamy do wyboru kilka sektorów o charakterze skałkowym (drogi do ok. 4 wyciągów) oferujących wspinanie

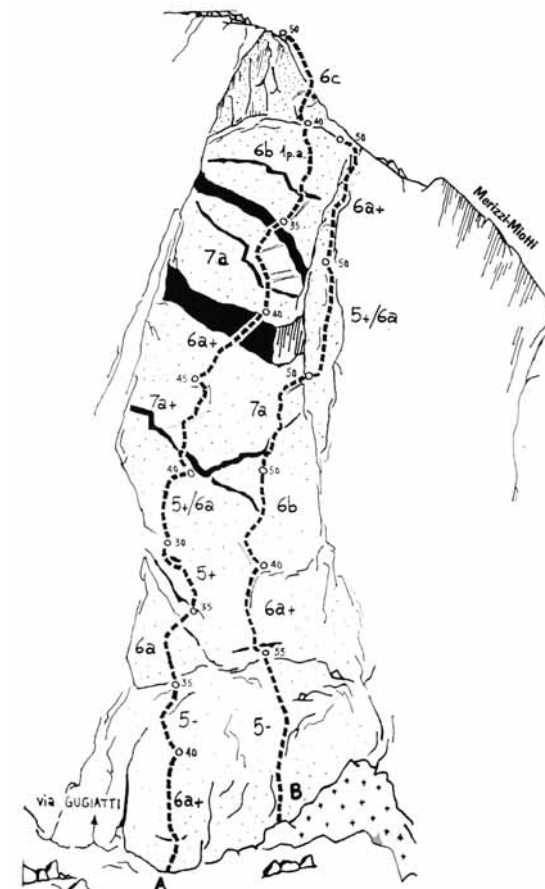
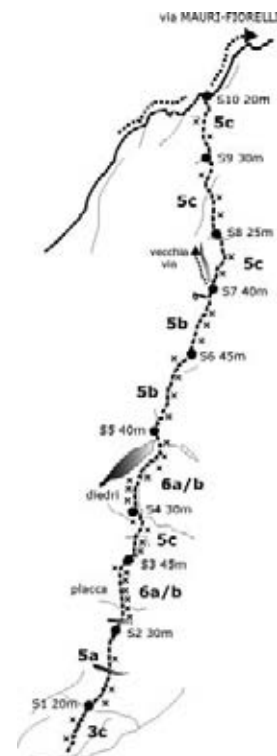
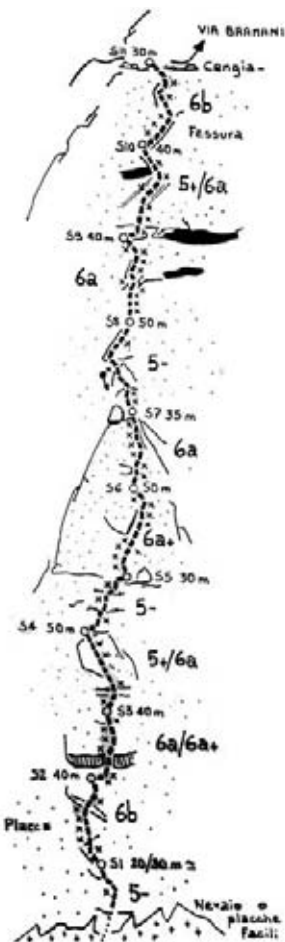
w świetnej jakości granicie. Podejścia od 10 do 20 minut.

Położenie i dojazd: Z Polski do Val Masino najlepiej jest dojechać ze Szwajcarii przez przełęcz Bernina. Z przełęczy zjeżdżamy do włoskiej miejscowości przygranicznej Tirano, gdzie skręcamy w prawo (w główną drogę nr 38) w kierunku Sondrio-Lecco. Po około 30 km znajdziemy się w Ardenno, gdzie znów trzeba skręcić w prawo za drogową wskazówką do Val Masino (łatwo przegapić). Po dalszych 13 km znajdujemy się w San Martino. Jeżeli udajemy się do Val Masino z grupy Bergell, musimy jechać drogą nr 36 przez Chiavennę w kierunku Lecco. 20 km za Chiavenną, w miejscowości Piantedo, skręcamy w lewo w drogę nr 38 w kierunku Sondrio. Mijamy Morbegno i po ok. 7 km odbijamy znowu w lewo do San Martino.

### Spanie i zakupy.

Na dole: W dolinie Val Masino obowiązuje całkowity zakaz biwakowania na dziko. Mamy tu do wyboru dwa campingi. Pierwszy z nich, *Sasso Remeno*, jest położony po prawej stronie szosy, około 1200 m przed San Martino (wjazd w odległości ok. 100 m za gigantycznym głazem *Sasso Remeno* tuż przy drodze, w prawo przez charakterystyczny stalowy most na drugą stronę rzeki). Camping ten jest bardzo sympatyczny, można tam również zostawić samochód na kilka dni. Dodatkową jego zaletą jest położenie nad samą rzeką i blisko skałkowo-bulderowego regionu *Sasso Remeno* (cena noclegu 8 euro od osoby). Drugi camping, *Lo Scoiattolo* jest położony ok. 800 m powyżej San Martino przy drodze do Bagni di Ma-

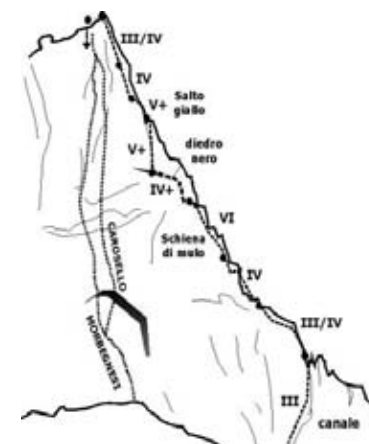




#### Opisy schematów:

1. Lady Di – Punta Rasica
2. Selen – Punta Torelli
3. El Diablo i Complicazioni Collaterali – Pizzo Torrone Occidentale
4. Via Vinci – Punta Angela

A. El Diablo  
B. Complicazioni collaterali



sino, ale jest droższy i nie tak sympatyczny jak pierwszy. Zakupy spożywcze robimy w sklepikach w San Martino lub Filorera, najbliższy supermarket w Morbegno przy głównej szosie Sondrio-Lecco (z San Martino ok. 20 km). Sprzęt wspinaczkowy możemy kupić w sklepie Fiorelli Sport w San Martino. Ceny jednak są wysokie, więc lepiej nie nastawiać się na duże zakupy.

W górze: Infrastruktura noclegowa w dolinach górskich otaczających Val Masino jest dobrze rozwinięta. W każdej dolinie jest schronisko lub biwacco. Schroniska czynne są od około 25 czerwca do końca września. Cena noclegu w sezonie to 10 euro ze zniżką klubową. Możliwe jest też pełne lub częściowe wyżywienie, tu zniżka również obowiązuje, choć mniejsza. Każde ze schronisk

(Omio, Gianetti i Allievi-Bonacossa) wyposażone jest w Winterraum, gdzie poza sezonem można spać za darmo (sprzątanie i zniesienie śmieci obowiązkowe!).

#### Przewodniki i info:

Najlepszym i najpełniejszym przewodnikiem po Val Masino jest „Masino, Bregaglia, Disgrazia – Montagne per Quattro Stagioni” autorstwa pary G. Maspes i G. Miotti z 1996 roku. Obejmuje on zarówno drogi o charakterze alpejskim, jak i niżej położone sektory skalne Val di Mello. Wybór dróg najpiękniejszych, w tym tych otwartych w ostatnich latach, znajdziemy w przewodniku „Schweiz

Plaisir Sud” J. von Kanela z 2003 roku. Przewodnik ten przejrzysto prezentuje lokalizację ścian, podejścia i zejścia. Warto korzystać z obu. Dodatkowo w schroniskach Gianetti i Allievi-Bonacossa znajdziemy duży zbiór schematów dróg, które powstały w ostatnich latach z możliwością przerysowania lub zakupu kopii. Warto również zajrzeć na stronę [www.go-mountain.com](http://www.go-mountain.com).

Schematy, które prezentujemy w artykule, udostępnił dla A/Zero Gianluca Maspes – autor przewodnika, tychże dróg, jak i wielu innych w Val Masino.

## Łgórstwo (2)

### Dobre podanie

Dobre podanie, jak wiemy, ważniejsze bywa od dania. Bajer nie z tej ziemi serwować należy w gruntownie urobionym nastroju, przed audytorium dobranym, skupionym i wyczekującym. Dajemy przeczuć dojrzewający w nas wielki zamiar, nabieramy tchu i zaczynamy od możliwie sprawdzalnych szczegółów („łońskiego roku, na drugim metrze drogi Niecny Kowboj w Alpach Łechtalskich...”). Po czym niezauważalnym a płynnym ruchem przerywamy się w fikcję („najwyższym wysiłkiem sięgnąłem kluczowej dziurki...”). Nie należy przeoczyć momentu złagodzenia napięcia („niestety, w tym samym momencie ktoś właśnie otworzył drzwi z tamtej strony”). Efekt murowany.

### Szkoła Szeherazady

Dobra historia nigdy się nie kończy, stąd w miarę wyczerpania słuchaczy potęgujemy z wolna czynnik nadprzyrodzony, od skromnego: „Cała sztuka w tym miejscu polega na szybkim przereźnięciu środka ciężkości na palce”, przez dramatyczne: „I wtedy doszło mnie: «Stary, widzę twój czekan od spodu!»”, po niezawodną dłoń nieboszczyka jako decydujący chwyt w pierwszym zimowym przejściu dowolnego komina bliżej nieuczęszczanej partii gór w miarę możliwości najwyższych. O nader cenną opinię „niesamowity facet” ubiegają się zwłaszcza Szeherazady z klanu instruktorów.

### Szkoła Münchhausena

Historie katastroficzne. Wzorem, jak iść na całość, służy tu napad wilków. („Osaczyły mnie wilki. Włazłem na drzewo. Poda mną czerwone ślepie, wyszczerzone kły wilcze. Gałąź zaczęła trzeszczeć. Spadłem. – No i co? – No i nic. Rozszarpały mnie na strzępy. Została tylko ta fajka.” I demonstruje się fajkę.) Z kawałków w tym duchu pomnę swobodny lot, zakończony na frunącym za właścicielem, zaklinowanym szczęśliwie młotku (demonstracja), pięć dni pod lawiną w Górach Zwalistych (na dowód demonstrowano reumatyzm) oraz misia z Szałasisk z czujnie wetkniętą w pysk petardą (kiel niedźwiedzi do nabycia na giełdzie minerałów). Godna uwagi jest też na własne oczy podsłuchana relacja o niedoszłym wypadku kolejki linowej: gieroj, dostrzegłszy z wagonika pękanie liny, wychylił się przez okienko, w ostatnim ułamku sekundy złapał oba końce i zaplótł supeł. Uwaga: w trakcie bajania należy bez mruknięcia okiem wpatrywać się w słuchacza, a ściślej mówiąc, słuchaczkę. Jako że styl Münchhausena rodzi potrzeba wiadomego towarzyskiego celu.

### Zmyłki

Dla rutynowanego łgórcy wszelka akcja to niezliczone okazje do zmyłek. Do klasycznych należą zwłaszcza hasła: „Zaraz kończę!” i „Zaraz spruję!”, których następstwa, jak mówi doświadczenie, bywają zwykle odwrotne. Za grę w zmyłki uznać też trzeba polecenia niekonwencjonalnych manewrów linowych z ostatecznym rozwiązaniem włącznie. Nie brak jednak niewinnych odmian tej wersji łgórstwa. Któż w dniach młodości nie słyszał, jak brzęk wpadającego w głąb szczeliny haka partner kwituje pogodnym: „To nie wiesz, że Mnich jest w środku pusty?”. Zaglądaniu w co głębsze dziuple towarzyszyć więc winien zdławiony okrzyk: „Tam coś jest!”, a przekraczaniu lawiniastych żlebow stosownie nerwowe „pst!”, które nigdy jeszcze nikomu nie pomogło. W tym względzie warto wspomnieć szefa taboriska na Rąbaniskach, który szeptał o świcie wychodzącym zespołom: „Chłopcy, nie chodźcie dziś w góry! Za nic nie chodźcie w góry!”. – „A czemu to, panie magistrze?” – pytały ofiary łgórcy, wychowane, jak to przed laty, w kulcie autorytetu. – „W górach niebezpiecznie!”. I co, może nie miał racji?

(c. d. n.)

Jan Gondowicz

## Czas na Dolomity

Krzysztof Jacques i Piotr Wroczyński

Od wielu lat jeździmy w Dolomity, mamy więc pewne doświadczenia i chcielibyśmy się podzielić uwagami praktycznymi na temat działalności w tych pięknych i bardzo atrakcyjnych wspinaczkowo górach.

Dysponując samochodem można przejść w Dolomitach dużo dróg w krótkim czasie. Generalnie na drogach często odwiedzanych wspinamy się bez młotka, chyba że przewodnik to zaleca. Kask jest oczywiście obowiązkowy.

Każdy region Dolomitów rządzi się odrębnymi prawami; dotyczy to zarówno możliwości noclegu, jak i specyfiki wspinania i asekuracji. Ograniczymy się tutaj do trzech popularnych grup górskich, które znamy najlepiej: Cinque Torri, Sella i Tre Cime. Zwłaszcza dwie pierwsze nadają się na pierwsze spotkanie z Dolomitami.

**Cinque Torri** to idealne miejsce dla ludzi wspinających się dotychczas w skałach i nie mających doświadczenia górskiego. Jest to piękna, choć nie-duża grupa skalna, położona na wysokości około 2200 m i przypominająca góry w miniaturze, całość można obejść w pół godziny. Znajdziemy tu ponad sto dróg, większość to komfortowo ubez-

pieczone drogi skałkowe. Ściany skalne mają nieraz ponad 100 m wysokości. Jest to świetne miejsce do treningu, gdyż formacje skalne i faktura skały są typowo górskie. Trudności od III do VIIa. Szczególnie polecamy *Droge Dibony* na Torre Barancio (IV+, pięć wyciągów), *Myriam* (V, sześć wyciągów), *Fessura Dimai* (VI, cztery wyciągi), *Finlandia* (VII-, cztery wyciągi). W sierpniu 2004 roku oglądaliśmy też pozostałości po Torre Trepbor, 50-ciometrowej turni, która w czerwcu rozpadła się, po prostu przestała istnieć. Ciekawostka: fakt ten został zaznaczony na mapce (w postaci krzyża) w ostatnio wydanym przewodniku, który kupiliśmy w Dolomitach w końcu lipca, czyli trochę ponad miesiąc po katastrofie. Dojazd wąską asfaltową drogą prawie pod same skały. Trzeba jechać „z prądem” tzn. wcześniej rano, a wracać po południu (trudne mijanki). Spania na dziko w tym miejscu nie polecamy – częste kontrole. Dobry punkt wypadowy to camping „Olimpia” za Cortiną. Zalecany przewodnik: „Arrampicata sportiva a Cortina d’Ampezzo”. Region **Sella** oferuje dużo możliwości, od dróg krótkich ze świetną asekuracją po duże ściany





(ponad 1000 m) w rejonie Langkofel i Sass Pordoi. W masywie Piz Ciavases południowa, lita ściana tego szczytu (300 m) oferuje wiele pięknych standardów ze świetną asekuracją np. *via Michelucci* (VI), *via Buhl* (VI+), *via Irma* (VII-), *Abram* (VII). Na pierwszej turni Sella ze ścianą o wysokości 180 m są ładne drogi o charakterze skałkowym, np. *Schober-Rossi* (VII-) czy *Tissi* (VI), a na drugiej turni Sella polecamy *Droga Kasnapoffa* (V-) i *Messnera* (VI) z bardziej wymagającą asekuracją. Interesująca jest również *Droga Vinatzera* na trzeciej turni Sella. W regionie między schroniskiem Gerard a Passo Gardena znajduje się sporo trudnych dróg z bardzo wymagającą asekuracją. Na większości z nich znaleźć można zaledwie dwa, trzy haki, asekuracja z kości, friendów i uch skalnych. W rejonie Langkofel godna uwagi jest piękna *Droga Comicio* (400 m), o trudnościach VI+. Co do możliwości noclegu, to camping w Canazei odradzamy, bo jest drogi i hałaśliwy. Drugi camping znajduje się przy zjeździe z Passo Gardena, dojazd z niego do regionów wspinaczkowych

zajmuje około 30–40 min. Można też biwakować na dziko, ale trzeba rozstawić namiot po zmroku i zwijać przed świtem. Polecane miejsce: niedaleko skałek Pian Schiavaneis.

O regionie **Tre Cime** napisano już wiele, przypomnimy więc tylko standardy: Cima Grande – *via Comici* (VII); Cima Ovest – *via Cassin* (VIII-); Cima Piccolissima – *via Cassin* (VII-). Co do noclegu (na dziko nie spaliśmy), to polecamy camping Misurina na samym początku drogi pod Tre Cime – warunki są nieco spartańskie (brak ciepłej wody), ale jest niedrogi i obok jest knajpa. I ciekawostka: parę lat temu w samym środku campingu wisiał duży napis po polsku „Prosimy nie okopywać namiotów” – to niby do nas Polaków, „harcerzy”...

Polecane przez nas przewodniki: Roberto Bernardi „Klettern in Gröden Dolomiten”, Roberto Casanova „Arrampicata Sportiva a Cortina d’Ampezzo”, „Dolomiten vertical” Lobo Edition i Stefan Stuflesser „Klettern rund ums Sellajoch”.







Poniższy tekst uznała redakcja za tak niezwykle, że postanowiła udostępnić go Czytelnikowi w wersji oryginalnej, aby brutalna ingerencja redaktora broń Boże nie zniszczyła niczego, co się składa na jego wyjątkowy urok.

Relacja Profesora z pokonania podlesickiego „Tyrana” (Tyranosaurus Rex VI. 7) przez Bratku w dniu 2005.10.28. Michał snuje również trochę refleksji około wspinaczkowych; -)

No wreszcie jest, klamka. Łapię za nią, jak jest to chyba trzeba pociągnąć – takie wspinaczkowe przyzwyczajenie. No to ciągnę i drzwi się otwierają, z lekkim zgrzytem bo to stary samochód Wojtasa, ale i tak fajny bo działa grzanie, a już jest zimno – jesień. Adama wciąż nie ma. Wychodzę choć i tak niczego to nie przyspieszy. Gdzie on się podziewa. Jest już grubo po północy, a my dopiero na Żwirkach – w skały jeszcze ponad 200 km. Miałem być w tych skałach wczoraj, ach te zebrania instruktorskie...

Za chwilę czyli za 24 godziny będę w tym samym miejscu i niby nic się nie zmienia poza

cyferką w kalendarzu, ale kilka osób będzie mogło wpisać do kajecika nowe drogi, ktoś uzyska nowy pseudonim, no i nakarmieni sukcesami w skałach będziemy mogli nakarmić wreszcie swoje ciała, zaczynając w „Michałowej”® przez „la Stazione”® i Maka® aż na BP®. Sukcesy trzeba fetować. Modne jest również żeby je omawiać szeroko, a opowieści okraszać żartem. Natomiast porażki określamy lapidarnie – przy odpadnięciach zazwyczaj po łacinie. Więc po co tyle napisałem skoro mi bogowie nie sprzyjali, droga nie padła. Może trzeba było krótko jednym słowem, zamiast całej tej relacji. Zresztą czy droga może paść, czy można pokonać górę? Napisano gdzieś że góry i skały czasem dają nam przeżyć, przy czym są poważne wątpliwości z tym czy czują się czasem pokonane lub padnięte. Pokrzepiony tą myślą, że i tak nie mogłem nikogo i niczego





pokonać zdecydowałem, że wyjazd nie był porażką i nie muszę lapidarnie. Nie, nie dziękujcie że zacząłem opisywać szeroko, bo jak tak dalej pójdzie z tym szerokim opisem, to Adam spakuje się i przyjdzie do samochodu w 1235 odcinku, a z Wawy nie wyjedziemy dopóki serial nie wyleci z ramówki.

Czyli łapię klamkę i włączam teleport – jesteśmy już w skałach – dziwne bo chyba w teleporcie po drodze widziałem drogówkę zatrzymującą jakiś samochód, ale policja nie ma chyba takiego sprzętu co Wojtasowy wehikuł. Musiało mi się wydawać.

No dobra jesteśmy już na tym Tyranie. Nie będę opisywał że rano biegałem, że chłopaki spali do 11! Szczególnie mistrz Bratku wysypiał się przed wspinaniem, ale operatorzy teleportów tak chyba mają. Można by tu napisać coś o Bakte-

rii, który kieruje zawodowo autobusem, ale jak mi kiedyś zasugerował Lama (nie Dalej, ale też niekoniecznie Bliżej) gdy spóźniłem się na dyżur – nie należy traktować komunikacji miejskiej jak teleportu...

Czyli znowu jesteśmy na Tyranie, a podobno było tak mało dni patentowania. To co my tam jeszcze robimy? Tyran padł i jesteśmy powrotnie w samochodzie.

Żartowałem – jednak coś o tym napiszę.

Bratku mimo że mocą się odznacza, to nie należy do takich co urywają chwytów. To było kluczem do sukcesu. Miał dużo patentów i odkrył rąbek tajemnicy, że kupił 5.10®, ale na szczęście zrobił w la Sportivach®, bez preparowania butów specjalnie pod kątem jednej drogi tak jak to kiedyś na Tyranie zrobił Mirek Wódka. I nie jest to



początek dyskusji co lepsze miura (la Sportiva®) czy welcro (5.10®). Wiadomo 5.10®; -) Zrazu wprost granią, potem kilka stopni po stronie Doliny Dzikiej, następnie wyraźnym zachodem wprost na niewybitną turniczkę... Nie to nie schemat Tyrana. Schemat Tyrana dla każdego jest chyba inny, ale

Zrazu było ciepło, potem kilka stopni mniej i wyraźnie zachodziły wątpliwości, wprost obawa czy padnie tego dnia ta niewybitna płyta w zacięciu.

Nie miał już skóry, kilka razy spadał na ostatnim trudnym (czyli powyżej VI. 4) sięgnięciu. Było jasne że droga padnie. Bratku zapas na tą drogę miał taki że prawdopodobnie znalazł w pewnym momencie jeden z trudniejszych patentów na jurze z krzyżem na legendarnych robinhoodkach. Główną rolę grały nie chwytów i trudności

tylko psychika i strach przed długim patentowaniem. Tak przynajmniej wyglądało to z dołu, z pozycji asekuranta zwyczajnego gapia, tyle że zaangażowanego i przeszkolonego; -) Bez trudu zacytowałbym wam okrzyk Bratka po zrobieniu drogi, tyle że był za krótki nawet na jedno zdanie. I tutaj dochodzimy do sedna sprawy, okłamałem was. Sukcesy można jednak określić lapidarnie np. „co za ulga że puściła”. Ciekawe że w tej wypowiedzi Kubka jednak pojawia się pewna pokora, już nie pokonałem, tylko Ona puściła. Znowu wymaga to szerokich omówień bo jaka Ona? Skoro to „Tyranozaurus Rex”. Nie to żebym odmawiał mu prawa do wyboru płci – w „dzisiejszych czasach” nawet dinozaur może zażądać żeby go tytułować Ona. Z tymi dygresjami moglibyśmy dojść do kluczowych krawędzi i je urwać, lub chociaż ludzić się że przynajmniej byśmy na nich przywisnęli.





Więc może lepiej o klamkach, klamkach w samochodzie Wojtasa? Działają bardzo kierunkowo, nie to żeby odciągi lub podchwyty, po prostu da się wyjść ale już nie wejść. Do środka trzeba przez bagażnik, na szczęście to kombi. Ale pożyczając ten samochód Wojtas obok literek: V, I i cyferki 7 stał się sponsorem tego odcinka.

Mamy więc wszystko co potrzebne do sukcesu w profesjonalnym sporcie:

Sponsor (Wojtas) zapewniający profesjonalny, licencjonowany sprzęt (toyota®), transport (toyota®), a w razie potrzeby nawet wyżywienie. Na szczęście dla Wojtka wspinacze raczej nie korzystają z wyżywienia.

Baza noclegowa – mogłaby być toyota®, ale ci sympatyczni miejscowi wieśniacy...

Bezstronny sędzia (świadek) no czyli ja. Ale nie tylko. Byli jeszcze goście z crasch padami na garbach. Wcale się jednak nie przejmowali, że oto tu pod ich nosem dzieje się epokowe wydarzenie. Byli bezczelnie zajęci sobą i swoim wspinaniem. Bardzo próbowałem oderwać ich od żalnego procederu upadania na crasch pady. Dodawałem Bratкови otuchy głośniejsz niż było to niezbędne, posunąłem się nawet do głośnych komentarzy na temat trudności drogi. Nic nie działało. Oni nie mieli pojęcia o Tyranie, zwyczajnie, wręcz prostacko wspinali się dla własnej przyjemności. Brrr...

Obiekt sportowy – głównie zapadła mi w pamięć ci świetna i według meteorologów naturalna, ekologiczna klimatyzacja (prawie jak w toyota®) która potem dała mi się we znaki na Greku Korbie. Grecy chyba wolą ciepłko.

Media znowu mi się trafiło. Na szczęście w jakiejś książce przeczytałem jak zawiązać



flagowy. Zdając się na instynkt nie musiałem czytać instrukcji aparatu fotograficznego.

Zawodnik – tak jak z piosenkarzami mogłem wylansować innego, kwestia marketingu. Ten mi się jednak podobał, a powiązania rodzinne przeważały.

Po sukcesie zrobiło się chłodniej i wspinanie zaczęło się ograniczać do marzeń o esesmanach. Wcale nie chodzi o to że cześć Jury to Śląsk czyli trochę Niemcy. Kto nie wie co to S-S musi sam znaleźć odpowiedź i lepiej w Podlesiowie niż w książkach Wołoszańskiego. 24 h później byłem znowu na Żwirkach. Tym razem Adam ucałił klamę, pociągnął i trzaskając po chwili drzwiami, przypieczętował sukcesy na Telewizorze, na Tyranie, nowy pseudonim Karoliny, zwanej od tego czasu „Żoną”, i koniec sezonu. Ja bez sukcesu, ale przekonany o tym że dałbym radę. Skoro robiłem ruchy na luzie

itp. to 2 tygodnie na obwodach i droga na pewno byłaby moja. To po co ją robić, jeśli wiem że dałbym radę. To tak jak z zadaniami z matmy, jak ktoś wie że umie je rozwiązać to nie ma dla niego sensu ich rozwiązywanie. To oczywiście bzdura. Tyle że z tej bzdury płynie refleksja że to jednak nie o szukanie granic własnych możliwości chodzi w tym wspinaniu, bo gdyby tak było to kto miałby ochotę na patentowanie, nawet tak krótkie jak w przypadku Bratka na Tyranie. Wystarczyłoby podejść pod drogę i ocenić czy jest w zasięgu możliwości. Jedno jest pewne, w trakcie wycofów nikt nie stwierdzi, że skoro jest pewien że da radę, to nie będzie się męczył...



# Doprowadzeni do „Szewskiej pasji”



Siedzieliśmy z Alicją w Działiszu, gdy w Tatrach zagościła piękna pogoda. Do pełni szczęścia brakowało tylko partnera, bo nasza Anielka unie-możliwiła nam wspólną działalność. Potrzebny był kompan, i oto nawinął się Długi, czyli Marek Fliśnik. Wiedział, czym ryzykuje, bo w ubiegłym roku już miał okazję nam towarzyszyć. A zasady były bezlitosne: zero restów, dla niego oczywiście. My wspinaliśmy się na zmianę, ale biedny Długi musiał to robić codziennie.

Dbaliśmy o niego ogromnie, lepiej chyba nikt by nie potrafił:

– Tylko nie zmęcz go za bardzo – upominała Alicja, – żeby jutro był w formie.

– Galeria?! Nie ma mowy! – protestowałem. – Skasuje się i jutro nigdzie nie pójdzie. Idźcie na Kościelec.

Tak, tak. Dbaliśmy o Długiego, żeby się nam nie nadwerżył i był w stanie napierać dzień w dzień. Ucieszyliśmy się zatem, że zahartowany w bojach i wypróbowany w terenie partner wkrótce się zjawi.

\*

Wylosowałem go pierwszy. Natychmiast rzuciłem się do przewodników. Gdzie by tu pójść, żeby było w miarę blisko, niestresowo, ot, tak – na początek w sam raz. No i znalazłem: Młynarczyk, Szewska Pasja. Ha – idealne! Osiem wyciągów; pierwsze trzy, te z trudnościami – ospitowane, a potem już tylko czwóreczki, piąteczki, bolty na stanach; jednym słowem: pełny relaks. A i na wspomnianym szczycie jeszcze nie stałem, więc ze wszech miar warto było się tam udać.

Długiemu też się spodobało, najbardziej te spity i krótkie podejście.

– Nie musimy się zrywać – oznajmiłem ze znawstwem – jak o ósmej wystartujemy z Łysej, to świat i ludzie!

Bo przecież co tam – półtorej godziny do taboru pod Wysoką, godzinka podejścia, o jedenastej w ścianę, maks pięć godzin wspinania plus dwie zjazdów – zatem o siódmej z powrotem na Łysej, a o ósmej na obiadku w domu.

Długi został dostarczony jak nowy, w sam raz rozruszany do akcji na następny dzień.

\*

Łysa przywitała nas przymrozkiem. Łąki pokrywał szron, było nad wyraz rześko. W wesołym nastroju wypakowaliśmy się z samochodu.

– Haki? – zapytał Długi.

– Ee – skrywiłem się, – przecież to ospitowane...

Coś mnie jednak tknęło i zadzwoniłem do Ludwika (Wilczyńskiego). – O, bracie, koniecznie – stwierdził z powagą w głosie, – tam nie ma żartów.

– Co on gada? – zastanawiałem się, ale jakoś nie doprowadziło mnie to do głębszej refleksji. W filuternym nastroju udaliśmy się w górę Doliny Białej Wody.

\*

Pod Wysoką dotarliśmy zgodnie z planem. Nad nami zwisała się regularna piramida wschodniej ściany Młynarczyka. Wśród wesołej pogawędki zaczęliśmy forsować strumień. Kiedyś ktoś pocziwy przerzucił przezeń oglonioną kłodę, w sam raz mostek, toteż Długi bez wahania ruszył naprzód. Dwoma sprężystymi krokami osiągnął środek belki, nagle coś nim zachwiało, zamajtał rękami, przekreślił się bokiem i fajt! Obie stopy zjechały mu ze śliskiej powierzchni i dup! – siedzeniem w belkę, po czym już tylko chlast! – do wody.

– No nie... – Długi stał po kolana w potoku, a ja pękałem ze śmiechu. Oczywiście skorzystałem z okazji do pociągnięcia łacha z niedoświadczonej młodzieży, bo my, stare lisy, kity nie moczymy.

Chlupocząc wodą w butach, Długi ciągnął za mną. Pół godziny później wyszliśmy z gęstego lasu na rumowisko opadające spod ściany. Dostępu do niej broniła 40-metrowa bariera skalna, wyprowadzająca na płytowy Zachód Birkenmajera.

– Coś Ludwik mówił, że to tym kominkiem pośrodku... – zacząłem.

– Mokry... – skrzywił się Marek

Taaak. Był mokry i jakiś taki pionowy. No cóż, mam przecież dwadzieścia lat górskiego doświadczenia. – Pójdziemy tamtędy – pokazałem w prawo, – o, po tych kosówach, a potem na półkę i już.

Długi spoznał na mnie z uznaniem. – Prowadź – przytaknął. Niebawem zaczęliśmy się pięć stromym, zatrawionym stokiem. Zdobywaliśmy wysokość metr po metrze; niegroźna z pozoru bariera stromiała z każdą chwilą. Wreszcie, gdy jedyną możliwością okazał się pasaż w lewo po stromej płycie i trawiastych stopniach, zacząłem mieć wątpliwości. Wmontowałem się jednak w trawersik i z miejsca pojąłem, jak duży błąd popełniłem. Trawki ledwie się trzymały, chwytły były niepewne, a otchłań pod nami cierpliwie czekała... Oblewając się siódmymi potami



wygramoliłem się wreszcie na półkę. Bez wahania wyciągnąłem linę.

– Długi, przywiąż się, tu jest, kurde, trudno.

Gdy już do mnie dotarł, stało się jasne, że teren jest „nieważny” trudniejszy, niż zakładaliśmy. No cóż, jeśli rzeczywistość nie spełnia naszych oczekiwań, to tym gorzej dla niej. Zarzuciliśmy pętlę na bloczek w trybie stanowiska, po czym ruszyłem w górę. Będąc pięć metrów nad Długim sięgnąłem po chwyt, który odkleił się z cichym młasknięciem, a ja otworzyłem się jak drzwi od stodoły. – Aaaaaa – zakwicząłem, zamachałem wolną ręką, druga, wczepiona na krawądkę, zatrzęszczała w stawach, i... utrzymałem się! Wierzeje się zamknęły, a moje nogi opanował dobrze znany dygot.

– Ja p.... – szepnął skamieniały ze zgrozy Długi – jakbyś stąd wałnął...

Trzęsąc się jak galareta, zszedłem do niego; mamrotałem przy tym w kółko jedno słowo, wszyscy wiedzą, jakie. Grzecznie wyjęliśmy sprzęt, haki, młotki. Założyliśmy porządne stanowisko i pół godziny później, już uspokojony, ruszyłem w – jak się miało okazać – długą podróż ku płytowemu zachodowi. Była to podróż przez pionowe trawy i luźne bloczyska, przez zapiaszczone stopnie i odłupujące się krawądkie, przez zawalone gruzem półki i zasypane ziemią chwyt. Jednym słowem, była to podróż przez mękę. Na 55 metrach założyłem jedną pętlę oraz wbilem jednego, brzęczącego knife’a. Gdy po 45 min. od startu założyłem wreszcie stanowisko, psychę miałem poważnie nadwyrężoną. Tego przecież nie było w planie! Jeszcze nawet nie podeszliśmy pod ścianę, a tu takie jaja!

Nawet Długi jakby się nieco wydłużył i z troską w oczach spoglądał na zwieszającą się nad nami zerwę. I ja trochę spuściłem z tonu, bo przestało to wyglądać na spacer, a i czasu zostawało jakby coraz mniej...

\*

Pod drogą stanęliśmy ok. trzynastej. W dole cięła struga wody, a i wyżej nie wyglądało to lepiej.

– Wiesz co? – powiedziałem bardziej do siebie niż do Długiego, – ja zrobię te pierwsze dwa, a potem napieraj ty. A jakby co, to zjemy.

Ruszyłem, ale niewinnie wyglądające zaciątko (wycenione na sześć!) zupełnie nie chciało mnie puścić. Widziałem wyżej klamę, lecz żeby do niej sięgnąć, musiałem wydrzeć z małego odciągu.

– No przecież, cholera, to niemożliwe... Przecież to szóstka – przekonywałem samego

siebie. Nie było rady, ostatecznie zdecydowałem się na rozwiązanie siłowe i po chwili wytarabaniłem się na obszerną półkę. Stąd droga wiodła w okapy, ale na płytach poniżej połyskiwały blaszki spitów.

– No, nie jest źle – oceniłem, i wziąłem się do roboty. Cała ta historia zaczynała mi grać na nerwach, ale czułem, że sprawy zaczynają się wreszcie układać po naszej myśli. Byliśmy na drodze, więc „robimy swoje i do domu”.

Po małym tańcu na pierwszych metrach wstawiłem się w siódmkowy wyciąg. Potem znowu przytrzymało mnie w miejscu VI+. Wreszcie przy pomocy małej ryzyki wy dostałem się ponad przełamanie płyty.

– Popatrz tylko, jaka miejscówka – odwróciłem się do Marka, bardzo z siebie zadowolony. W tym momencie coś mi wyjechało (chyba mokry chwyt) i z łomotem zwałem się pod przełamanie. Góry z kamiennym spokojem przyjęły kolejną porcję wyzwick, jakie posłałem całemu światu. Tym razem rozeżliłem się na dobre. Kolejne metry wydierałem z pasją, a wyjście nad okap obficie zrosiłem potem i magnezją. Oj, błogosławiłem „Szalonego” za wyjściowy spit! Francowate miejsce przed samutkim stanowiskiem przytrzyma każdego, a z asekuracją trzy metry niżej stanowiłoby prawdziwe wyzwanie. Choć i ze spitem nie było łatwo.

Kolejny wyciąg nie wyglądał zbyt wspaniale: przez filarek przelewał się z szelmowskim pluśkiem mały potoczek udekorowany blockiem. Długi zasepił się. – No, napieraj – poklepałem go – to tylko dwa ruchy.

Sam nie wierzyłem w to, co mówiłem, ale co miałem powiedzieć? Specjalnie się więc nie zdziwiłem, gdy po nierównej walce Długi zawierzył wreszcie swój organizm piętnastoletniemu kółkowi rozporowemu. – No nie, małe krawądkie – sapnął – na mokro nie pociągnę, bez szans...

Idąc za nim mogłem ocenić, że faktycznie, szans nie było. Nie miałem zamiaru się szarpać. „Raz, dwa, trzy” i było po sprawie. Wy dostałem się na wielką tarciovą płytę, na której z rzadka widniały spity. Znowu wydało mi się to jakoś trudniejsze niż VI+. Co jest grane? Czyżby „Szalony” robił sobie jaja? Po pięknym, acz wytężającym wyciągu dotarłem wreszcie do Długiego, kokoszącego się na stanowisku składającym się – o zgrozo! – z jednego starego spita i kaprawej pętli. Mój dobry humor prysł natychmiast. Nad nami rozpocierał się teren, który określić można było tylko jednym wyrażeniem: klasyczny tatrzański syf.



Znacie to, prawda? Łupiąca się skała przetykana czerniawym porostem-mchem, do tego różowawe glony, a całość zupełnie pionowa, nawet jakby przewieszona. I to miało być V+?! Wymieniliśmy niepewne spojrzenia, potem wzrok odruchowo powędrował w dół. Dwa zjazdy, może nawet jeden...

– Spróbujmy jeszcze ten wyciąg, i zobaczymy, dobra? – spytałem niepewnie. Najmniejszy sprzeciw ze strony Długiego spowodowałby natychmiastowy odwrót. Ale Długi nie wymiękł. – Idź – rzekł i podał mi szpej.

Schemat wpuścił mnie w maliny: narysowany na nim trawers okazał się podpuchą, która kosztowała mnie piątkowy (albo i lepiej) trawers bez ase-

kuracji w tę i nazad. Spocony z emocji, wróciwszy do punktu wyjścia zawyrokowałem: – Tędy na pewno nie.

Teren do góry prezentował się nadzwyczaj kaprawo, ale puszczał. Za to asekuracja była kompletnie do bani. Pomimo sporego wysiłku udawało mi się wcisnąć haczyki ledwie raz na pięć metrów. Błogosławiłem Ludwika za dobrą radę: ładnie byśmy tu wyglądali bez młotków, oj ładnie! Droga kłuczyła jak pijany między latorianiami. Brakowało formacji, teren był płytowy i nieprzyjemny, do tego cholernie eksponowany. Cały czas trzeba było uważać, a szóstkowe pasaże trafiały się raz po raz. Ani metr nie puszczał bez walki, nic nie było ewidentne, a braki asekuracyjne wymuszały dużą ostrożność. Narastała we mnie istna szewska pasja: – Nie odpuszczimy – warczałem ni to do siebie, ni to do Góry, – drugi raz nie mam zamiaru tu przychodzić. Wreszcie, po wcale niekrótkim czasie, zdobyłem wielką półkę, z której droga pięła się w kolejne przewieszki.

– Marek – zagailem, – to ja biorę jeszcze ten wyciąg, a potem ty dwa ostatnie, OK?

Na szczęście zgodził się, bo czułem, że mój zapas psychy zaczyna się wyczerpywać. Do cholery, to miał być relaksowy dzień, przyjemna i wesoła wspinaczka po spitach!

Pierwsze metry nad półką znowu okazały się baletem. Jakież zalane zaciątko, zero asekuracji. Jak oni to przeleźli?! Zszedłem. Aha, więc to jest wariant „Szalonego”, oryginalna droga idzie po lewej. Srożyła się tam jakaś przewieszka, ale widok pięknej szczeliny skierował mnie w jej stronę. Nie ma głupich, najwyżej przechaczą...

Jednak puściło, choć kruchawy teren powyżej, potem wymyty ściek, niby portal, nie puszczały do samego końca. Protekcja się nieco poprawiała,



więc wyciąg jakoś poszedł i wreszcie z ulgą zaległem na stanowisku. No, to cześć pracy! Teraz niech się Długi wykazuje. Spojrzałem w górę: oj, będzie miał szansę... Mokry, połupany teren zwieszał się nad nami w formie gigantycznego zacięcia. Ciekawe...

Długi naparł śmiało. Początek okazał się całkiem łatwy, ale końcówka nieźle dawała popalić. Przewieszona rysa z kruchymi chwytami, jakieś skorodowane stare haki, ekspozycja totalna,

Dochodziła szósta. Zaczynałem żalować, że nie wzięliśmy butów na zejście. Wolałbym się tarabanić trzy godziny po Młynarzu, niż zjeżdżać tym urwistym parchem. Na dodatek zanosilo się, że po ciemku...

Ale nie, nie odpuścimy, za dużo nas to kosztowało.

Zacięcie okazało się piękne, choć mokre. Długi złomotał je sprawnie, dla formalności przeszedłem je i ja, znów stwierdzając trudności

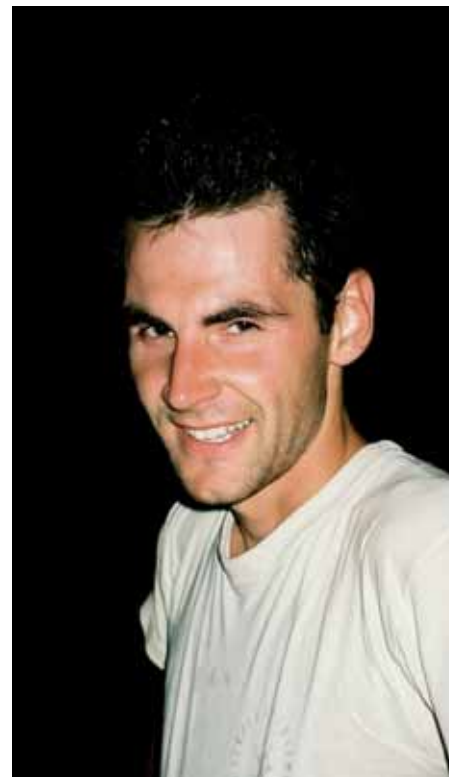


ajajaj! VII- jak gwizd! Szedłem z trudem, wór ciągnął w dół, ręce mdały i zasychało w gardle, w końcu jednak dotarłem do zadowolonego z siebie Długiego. Tak, to był wcale łój!

Pogratulowałem mu szczerze, i znów zgodziliśmy się, że rysa to raczej VII- niż VI+. No nic, pozostał nam jeszcze ostatni wyciąg – zacięcie. I, nauczeni doświadczeniem, nie oczekiwaliśmy się na nim V+...

minimum VI. Trzymały do końca, a od ekspozycji aż się w głowie kręciło. – Kurde – wykrztusiłem – tu jest jak na Zerwie!

Zmierzchało, gdy rzucaliśmy linę. Zjazdy z jednego spita nie uśmiechały mi się, dokładaliśmy więc, co popadnie. Już na pierwszym stanowisku zawiesiłem karabinek. – A co – odparłem w odpowiedzi na pytające spojrzenie Marka, – to tańsze niż metr pętli, nie żał mi, a przynajmniej lina zjeździe bez problemów.



Jakoż i schodziła, chociaż zjazdy szły po skosie, trzeba było robić wahadła do stanowisk, trawersować po półkach, uważać, żeby nie stracić bloków. Wreszcie w zapadających ciemnościach osiągnęliśmy płytowy zachód pod ścianą. Wyjąłem światło. – Słuchaj – powiedział Marek, – ale ja nie wzięłem czołówki. No tak, miało być blisko i szybko...

Bez zbędnych ceregieli zaczęliśmy dalsze zjazdy, bo podobno gdzieś tam były stanowiska. Darmo jednak przeczesywałem teren – nigdzie nie mogłem ich wypatrzeć. Cóż było robić? „Kontakty” – „szukaj” – „Pieprzyci Adam”. Bip, bip, kurde, odbierz, bip...

- Halo?

- Cześć Siwy, tu Paszczu.

- No cześć, co tam?

- Słuchaj, wiszę na końcu liny pod zachodem na Młynarczyku i nie mogę znaleźć stanowiska...

Wot, tiochnika! Siwy mi wszystko ładnie wyłożył i po chwili radośnie jechaliśmy w dół. Ziemia! Cudownie, choć g... widać. Noc czarną jak smoła rozświetlała tylko moja słabiutka Tikka. No, ale



przynajmniej dupska uniesione. Uściskaliśmy się serdecznie. Była dwudziesta pierwsza.

Marsz w dół okazał się niezłą przeprawą. Brnąc przez „pionowy las” co chwila wpadaliśmy w dziury, zaczepialiśmy o gałęzie i ześlizgiwaliśmy się z omszałych kamieni. Szczególnie biedny był Długi, polegający tylko na tych resztkach światła, jakich mu użyczalem. Ale i dla niego nastąpił słodki moment, bo oto dotarliśmy wreszcie do potoku. Nie znaleźliśmy naszej kłody, za to znaleźliśmy zwężkę. Wziąłem solidny zamach, odbicie i... zapadłem się po kolana w bagienku. – No, ładnie – nawet denerwować się nie miałem już siły, za to Długi dziwnie poweselał.

I tak, zmordowani do imentu, pogodzeni z losem, w mokrych butach, szliśmy Doliną Białej Wody. Nasz „rozruchowy” dzień dobiegał właśnie końca. Długi od razu zapowiedział, że o wspinaniu jutro mowy być nie może. Próby przekonania go, że na pewno będzie się świetnie czuł, a na pęcherze mam wspinałą masę, nie trafiły mu do przekonania.



Gdy koło dziesiątej zadzwoniła Alicja, wiedziałem, co usłyszę: – W jakim stanie ty mi go oddajesz! – wściekała się. – Jutro lampa, a on będzie do niczego!

– Kochanie – łagodziłem, – nie mogłem przewieźć, starałem się...

– Jak gospodarujesz naszym partnerem! Ja też cię tak załatwię!

W tym czasie Długi na zmianę ćwierkał i pomrukiwał przez komórkę do ukochanej Bożenki, której wyjaśniał, żeby się o niego nie martwiła i że był na bardzo fajnej wycieczce w górach i właśnie w bardzo romantycznych okolicznościach odbywa spacer i że bardzo żałuje, że jej z nim nie ma.

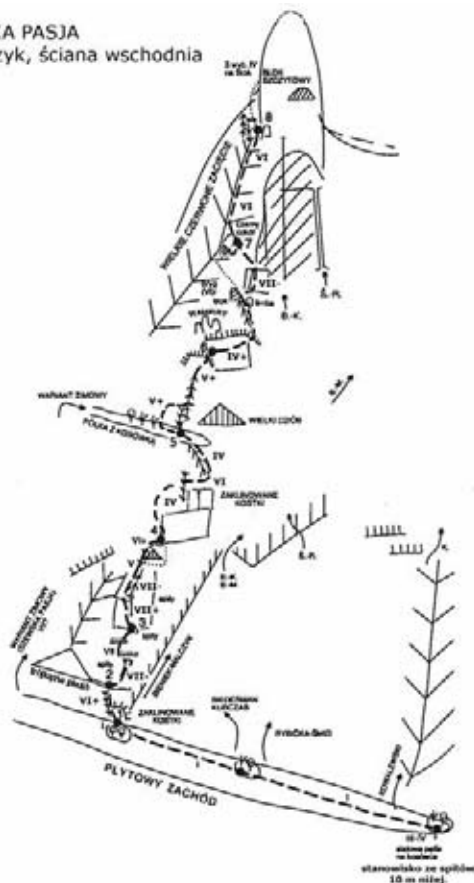
Pół godziny przed północą osiągnęliśmy Łysą, niedługo później – Dżianisz. Następny dzień spędziliśmy uroczonie na werandzie naszej chałupy. Nawet Alicja już się nie gniewała. Opowiedziałem

jej mrożącą krew w żyłach historię, jak to uratowałem siebie i Długiego od niechybnej zagłady w zerwach Młynarczyka. W ten sposób – tłumaczyłem – w zasadzie zasłużyłem na pochwałę, bo dzięki memu poświęceniu partner odniósł tylko nieistotne urazy i jutro będzie jak nowy. Z czego wynika jednak – kontynuowałem – konieczność oszczędzania go i nie przeciążania, bo zapowiadają dłuższy okres pogody.

Nie wiem, czy byłem tak przekonywujący, czy sprawił to przypadek, ale Alicja wybrała południową Kieżmarskiego, zacięcie Fiali. Poszli, i obojgu bardzo się podobało. Długi, nadzwyczajnie zadowolony, już w zejściu teleksował, że jest w zasadzie wypoczęty i gotów do kolejnej akcji. Spojrzałem w przewodnik. Hm, Galeria... Tak, tam też jeszcze nie byłem...

Artur Paszczak

SZEWSKA PASJA  
Młynarczyk, ściana wschodnia



## Opis drogi

*Szewska Pasja*, pierwsze przejście Krzysztof Pankiewicz i Jan Wolf, 28-29.09.1975, z poręczowaniem i użyciem 6 nitów. Pierwsze przejście klasyczne: Piotr Korczak i Piotr Sztaba, lipiec 1994, po umieszczeniu 18 spitów. Czas przejścia: 4-6 godz.

Droga poważna, dużej klasy. Asekuracja na pierwszych wyciągach bez zarzutu, jednak od 4-go stanowiska nabiera charakteru „przygodowego”. Potrzebne są haki (przydają się miękkie rynny, jeden knife, płytówka) oraz komplet kości i friendów do rozmiaru 2. Nr 3 może się okazać przydatny na ostatnim wyciągu, ale nie jest niezbędny. Z lewego końca zachodu Birkenmajera parę metrów w górę stromym, zatrwonionym terenem na półkę u stóp przewieszki/nyży. Na lewo od niej znajduje się 5-metrowe, regularne zaciątko z hakami. Tu stanowisko 1.

Zaciątkiem do góry (trudny ruch na początku VI+/VII-) na półkę, u stóp wielkiej płyty nakrytej okapami (stanowisko 2). Teraz w prawo, do pierwszych spitów. Po krawędzi płyty (VII-) płyty w łatwiejszy teren. Podejście pod okapy spokojne, potem trawers w le-

wo, stopniowo utrudniający się, po czym w górę czymś na kształt przewieszzonego kominka (dobre klamy, ale buła puchnie) i wreszcie krok w prawo, przez płytę na stanowisko 3. Uwaga: trzeba się dobrze ustawić, bo klam nie ma (VII). Teraz w lewo przez filarek (oryginalna droga idzie do góry) po małych chwytach (VII+) na płytę, którą w górę (miejsce VII-) i lekko w prawo do eksponowanego stanowiska 4.

Teraz wprost do góry potrzebującą płytą (na prawo rysa z zaklinowaną kostką), potem zdecydowanie w prawo, przez filarek i skośnie w górę w kierunku wiszących kosówek (VI) na olbrzymią półkę, którą ok. 10 m w lewo (stanowisko 5). Teraz albo wprost do góry (bez asekuracji, VI), albo lepiej w lewo do płyty i zacięcia, którymi w górę pod okapik z rysą i blokiem, skąd wyjście w prawo na płytę (V+). Teraz w górę do jasnego, wymytego portalu, którym wprost (dobre haki, V+) na stanowisko 6 pod wielkimi, wiszącymi wampirami. Teraz nietrudny, długi, wznoszący się trawers w prawo, po czym w lewo skos zaciątkiem do stóp potrzebnej płyty z rysą. Rysa w górę, dość wyżej, na stanowisko 7 (VII-).

Wydaje się, że oryginalny wariant biegnący w lewo, do nisy, jest łatwiejszy (ok. VI). Teraz już tylko czerwonym zacięciem 30 m wprost w górę, VI, na stanowisko 8. Zjazdy w linii drogi są nieco nieprzyjemne, szczególnie w górnej części. Na większości stanowisk pozostawione są karabinki w spitach (prośba o ich pozostawienie na miejscu). Ze stanowiska 7 nie można zjechać skosem na stan 6, bo ryzykuje się strącenie wampirów. Trzeba jechać wprost i trawersować pod blokami. Lina schodzi jednak w miarę dobrze. Potem jedzie się szybko, ze stanowiska 4 na 55 m linie już wprost na stanowisko 1. Stamtąd długi skośny zjazd do stanowiska zjazdowego na zachodzie Birkenmajera, z którego jeden zjazd na piargi (vide fototopo). Alternatywnie można zjechać Kastratorem, ale trzeba wiedzieć, jak tam trafić. My, niestety, nie wiedzieliśmy, a z końca drogi nie wygląda to ewidentnie. Górne stanowiska zjazdowe pozostawiają trochę do życzenia – na większości jest tylko jeden spit. Wzmocniliśmy je nieco, ale należy się liczyć z pozostawieniem 1-2 haków, dla całkowitej pewności. Należy pamiętać, że spity mają już 11 lat.





## W ROLI „PARTNERA AUTOMATYCZNEGO”

**G**odzina 22.51. „Pociąg osobowy z Warszawy Zachodniej przez..... do Zakopanego odjedzie z toru pierwszego przy peronie trzecim” – oznajmił miły głos z głośnika. Pośpiesznie ruszyłem więc do wagonu, ażeby po długiej jeździe w tempie ekspresowym znaleźć się już o 7.51 na dworcu w Zakopanem. Podróż, jak to zwykle bywa, nie przebiegała spokojnie. Na co drugiej stacji ktoś dobijał się do przedziału proponując „piwo, piwko, piweczko jasne... pełne...”. O zaśnięciu nie było mowy. Po dziewięciu godzinach przewracania się z boku na bok, ciągłych zmianach pozycji mniej wygodnych na niewygodne, wreszcie zaświtało i wtedy udało mi się zasnąć, zaraz jednak obudził mnie konduktor słowami „Koniec trasy”. Na stacji kupiłem butelkę, potem podjechał Paszczu i ruszyliśmy busem na Łysą Polanę. Miałem się wspinać na zmianę: dzień z Arturem, dzień z Alicją – przywilej „partnera automatycz-

nego”. Dziś planowaliśmy coś łatwego, tak na rozwspinięcie. To był mój pierwszy wypad w Tatry w sezonie, poza tym po nocy w pociągu czułem się trochę sztywny. Paszczu wybrał Młynarczyka, drogę „Szevska Pasja”. – *Długi* – argumentował, – *to podejście prawie po płaskim!* – I poszliśmy na nią; szczegółowy opis naszych przygód możecie znaleźć w tym numerze A/Zero w artykule Artura. Drugiego dnia poszliśmy z Alą na Kieżmarski. Cel został dobrany należycie: szczyt blisko kolejki, poza tym miał to być dla mnie dzień ulgowy. Na kolejny dzień przypała gwóźdź programu, czyli Galeria Gankowa. Słyszałem o niej już na kursie tatrzańskim, „że to jest prawdziwe górskie wspinanie, ściana ścian, solidne podejście, ściana bez ewidentnych miejsc wycofu...”. W sezonie *Droga Orłowskiego* ma zwykle niewiele przejść, ponieważ prawie zawsze jest mokra, ale po długim okresie słonecznej pogody mieliśmy nadzieję,



że będzie dostatecznie sucha. Kiedy doszliśmy pod ścianę, okazało się jednak, że kluczowe wyciągi są mokre. Zupełnie nieprzygotowani na taką ewentualność, postanowiliśmy zmienić plany. Do podjęcia decyzji przyczynili się Słowacy, którzy właśnie rozszpejali się pod ścianą. Artur zapytał, czy mają może schemat *Drogi Łapińskiego*. O dziwo, mieli, i niebawem Paszczu wymachiwał kawałkiem kserówki. Zdarzenie to uznaliśmy za znak Opatrzności. Paszczu przyznał, że od dawna myślał o tej drodze, ale „jakoś się nie składało”. Ja natomiast, szczerze mówiąc, nie wiedziałem o niej nic, oprócz tego, że była to droga przełomowa. Przeszli ją znakomici wspinacze lat 40-tych, Łapiński i Paszucha; powtórzenie nastąpiło dopiero dziesięć lat później. Sam fakt, że była to droga z historią, powodował dreszcz emocji. Zapomniałem o nieprzyjemnościach związanych z „Szevską pasją” i średnio wypoczęty po rest day ruszyłem urabiać pierwsze metry na Galerii!

Muszę wyznać, że podczas tej wspinaczki czułem się, jakbym miał skrzydła. To był jeden z tych dni, kiedy wszystko układa się jak należy. Mimo że teren z wyciągu na wyciąg stawał się coraz trudniejszy, wszystko szło gładko.

Zmienialiśmy się co jeden, dwa wyciągi (musieliśmy tak wyliczyć, żeby każdemu z nas przypadło prowadzenie obu kluczowych wyciągów). Na mnie wypadł drugi wyciąg siódmkowy, trzy wyciągi przed końcem drogi. Dojście pod kluczowe trudności to krótki trawers i przewinięcie przez nieco wywieszony filarek. Tuż za przewinięciem moim oczom ukazał się wspaniały widok: lekko przewieszona ścianka, mocno urzeźbiona, a w niej mnóstwo starych haków. Mieliśmy okazję dokonać przeglądu historycznego żelastwa używanego w Tatrach w ubiegłym stuleciu.

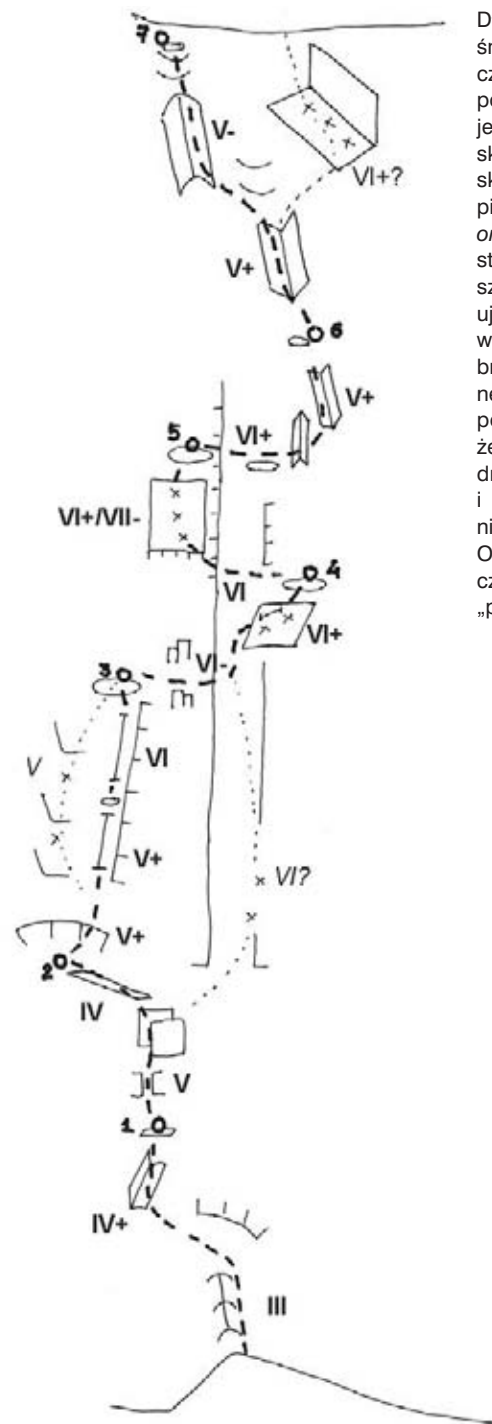
Wbijając się w ściankę, pomyślałem: „Przy takiej ilości haków nawet jeśli odpalę, to na pewno któryś z nich wytrzyma”. Bez opukiwania młotkiem, bez dokładania, wpinając tylko ekspresy, szedłem bardzo pewnie. Już po kilku ruchach wiedziałem, że nic mnie nie powstrzyma. – *Długi, spójrz, jaka lufa!* – pokrzykiwał z dołu Paszczu, ale nie dałem się podpuścić: widoki lepiej podziwiać już z półki stanowiskowej. Był to jeden z najbardziej eksponowanych wyciągów, jakie przeszedłem w Tatrach: totalna przepaść pod nogami. Na szczęście wszystko poszło jak należy.





Do końca drogi pozostały trzy wyciągi, które zapamiętam jako porządne wspinanie w dobrej skale. Wychodzącego na Galerię Gankową wspinaczka zaskakuje to, że po wielu godzinach spędzonych w pionowej ścianie znajduje się nagle na niemal płaskim tarasie pokrytym gruzem skalnym.

I tak po raz kolejny udało mi się odczarować miejsce w Tatrach, które do tej pory było dla mnie okryte tajemnicą, zakłète. *Droga Łapińskiego* sprawiła mi dużo radości. – Ta wspinaczka mogłaby jeszcze trwać i trwać – myślałem nie bez żalu. Galeria Gankowa pozostanie w mojej pamięci jako jedna z najpiękniejszych ścian tatrzańskich.



Długie i mozolne zejście rekompensowaliśmy sobie rozmową o polityce, w której Paszczak przekonywał mnie, że moje liberalne poglądy to socjalizm, ja zaś reagowałem na jego prawicowe przekonania, ale nie dość skutecznie. Wreszcie dotarliśmy do schroniska nad Jeziorem Popradzkim. Popijając piwo i jedząc „coś tam” okraszone *tatarską omacną* zaspokajaliśmy wilczy głód. Gdy na stół wjechała *salatka Szopska*, Paszczak postraszyl, że może ona wywołać, delikatnie to ujmując, niestrawność. Jednak smakowała wyśmienicie. Z pełnymi, zalanymi piwem brzuchami wolno ruszyliśmy w dół. W zupełnej ciszy każdy z nas odtwarzał w pamięci poszczególne wyciągi drogi. Wiedziałem, że już nic nie może zepsuć tego pięknego dnia. Nawet *salatka Szopska* odczekała i przypomniała o sobie dopiero nazajutrz, niwecząc moje dalsze plany wspinaczkowe. Ostabiony i odwodniony, miałem zakończyć moje podboje w tym sezonie w roli „partnera automatycznego”.

**GALERIA GANKOWA**  
Łapiński-Paszucha  
VI+VII-, 4-5h



## Mały Ganek, ściana północno-zachodnia Galeria Gankowa

Wspaniała, blisko 300 metrowa zerwa Galerii Gankowej należy do najpiękniejszych tatrzańskich ścian, stanowi także – poprzez swój osobliwy wygląd – unikalną formację skalną. Wszystkie wspinaczki na właściwej ścianie – pomiędzy drogą klasyczną a *Filarem Puškáša*, należą do bardzo trudnych i wymagają pokonywania terenu w stopniu min VI. Ściana jest ekspozowana, przeważnie mokra lub wilgotna, na wielu drogach występują odcinki kruche, aczkolwiek generalnie skała jest lita.

W ścianie Galerii da się wyróżnić jej zasadniczą, wyżej wspomnianą część, oraz łatwiejszą i mniej stromą lewą połąć (na lewo od *Klasycznej*). Z kolei na prawo od *Filara Puškáša* leży słoneczna ściana zachodnia, z kilkoma łatwiejszymi drogami.

Asekuracja jest w większości dość dobra, haki są potrzebne.

Galeria nie jest ścianą, na której panuje tłok, aczkolwiek dla Słowaków jest ona względnie łatwo osiągalna ze schroniska *Pod Wagą* lub z *Rumano-wej Przełęczy* przez *Galerię* (skąd albo zjazdami *Filarem Puškáša*, albo zejściem przez *Pustą Ławkę* – w sumie ok. 3h ze schroniska przy *Popradzkim Plesie*). Najpopularniejsze podejście wiedzie jednak z taboru na *Polanie pod Wysoką*, najpierw ścieżką na próg malowniczej *Doliny Ciężkiej*, a potem dalej do kotliny *Zmarzłego Stawu pod Wysoką* (kolokwialnie *Zmarzła Kotlina*), skąd wyraźną ścieżką wiodącą w lewo piarzystą rynną przez skalny próg pod ścianę (czasem na podejściu zalega śnieg) – 2h. Można też podejść z *Łysej*, całość trwa ok. 3.5h.

Z Moka można się dostać przez *BPW* i *dolinę Spadową*, poczym przez wyraźną przełęcz między *Ciężką Turnią* a *Niżnimi Rysami* (*Niżnia Spadowa Przełęczka*) do *Zmarzłej Kotliny* (ok. 3h).

Najprostsze zejście „do Polska” wiedzie wschodnią granią (z samej krawędzi Galerii, cały czas po stronie *doł. Kaczej*, miejscami II, ale generalnie łatwo i bez ekspozycji) na *Pustą Ławkę*, skąd albo na zachód, pod ścianę do *Zmarzłej Kotliny* albo na wschód do *Kaczej* (ok. 45 min), miejscami II, generalnie dość przyjemnie, wymagany jeden zjazd ok. 25m. Możliwe jest też przejście na *Rumano-wą Przełęcz* (15min) i dalej do *Popradzkiego* (1.5h).

### Wybór dróg:

#### 1. Droga Piotrowskiego, III, miejsce V, 2h

Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz, 16.08.1967.  
Droga pokonująca ścianę w najłatwiejszy sposób, sporo kruchego terenu. Może być ciekawa zimą, latem nie polecana.

#### 2. Final Cut, VI, 5h

Tadeusz Grzegorzewski i Artur Paszczak, 5.09.2005.  
Droga o logicznym, czytelnym przebiegu, wybierająca teren o najlepszej skale i najładniejszym wspinaniu. Haki na stanowiskach + haki kierunkowe (tęczowe pętle).

#### 3. Droga Karouška, VI, 5h

Valerian Karoušek i Bohumil Sisler, 28.08.1956, przebieg w dolnej części niepewny. Istnieje wiele wątpliwości co do przebiegu tej drogi, a w związku z tym z kwestią ew. powtórzeń.

#### 4. Smólski-Głazek, V, A2, 7h.

Stanisław Głazek i Adam Smólski, 12, 14.09.1975.  
Prawdopodobnie bez powtórzenia.

#### 5. Droga Klasyczna, IV, 3h

Ignacy Król, Władysław Kulczyński jun. i Józef Lesiecki, 27.07.1911.  
Droga polecana zimą.

#### 6. Droga Kuchařa, VI+, 4h

R. Kuchař i B. Svatoš 14.09.1954.

#### 7. Droga Pochylego, VIII, 6h

J. Durana i P. Pochylý, 11-12.09.1963.

#### 8. Komin Łapińskiego, VI+/VII-, 5h

Czesław Łapiński i Kazimierz Paszucha, 6-7.09.1944.  
Piękna droga, klasyk doliny, polecana latem i zimą.  
Najszybsze polskie zimowe – Paweł Mieszkowski i Michał Ziółkowski, 10h.

#### 9. Droga Studnički, VI-, 5h

Z. Studnička i K. Hauschke 22.09.1960.

#### 10. Droga Orłowskiego, VI-, 5h

Włodzimierz Gosławski i Tadeusz Orłowski, 30.07 i 3.08.1939.  
Wspaniała droga, jedna z najpiękniejszych tatrzańskich wypraw.

#### 11. Centralny Filar, VII, 5h

R. Antoníček i towarzysze, 15. 10. 1963  
Piękna droga o dość dobrej asekuracji.

#### 12. Komin Stanisławskiego, V+, 5h

Wiesław Stanisławski i Marek Żuławski 19.08.1931

#### 13. Filar Puškáša, V+, 4h

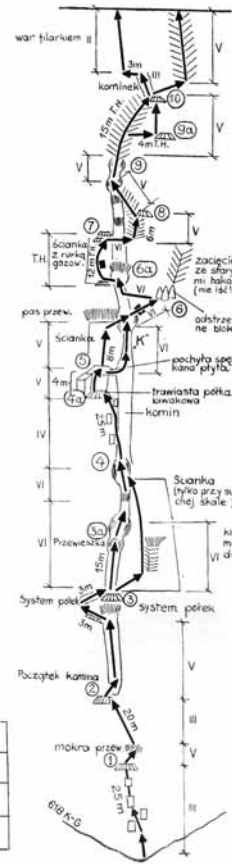
J. Petrlova-Pospíšilová i A. Puškáš 26.07.1948  
Piękna droga o niedużych trudnościach, popularna, szczególnie ze względu na słońce i suchą skałę.



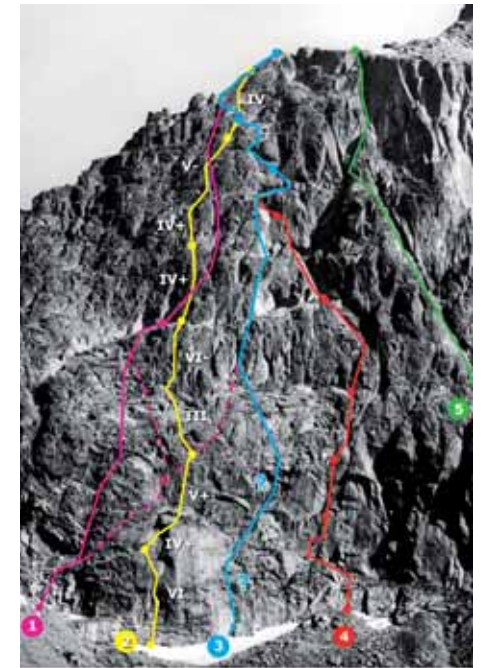


## Droga Łapińskiego-Paszuchy.

Wejście w ścianę w linii komina, ok. 15 m od drogi klasycznej. Pierwszy wyciąg zaczyna się łatwym terenem (III) doprowadzającym pod ścianę, u stóp której trawers w lewo (IV+) pod poderwany, mokry kominek (stanowisko). Kominkiem w górę (V), poczym spod wylotu zasadniczego komina (można nim pójść wprost w górę, ok. VI) trawers w lewo na półkę pod krótką ścianką zagradzającą wejście do wielkiego zacięcia (stanowisko). Teraz nieco wyżej przez ściankę, w jej prawej części (V+), do zacięcia, którego albo dnem (łatwiej, ale bywa bardzo mokro) albo rysami w prawej ścianie (VI) na stanowisko ponad nim. Poziomym trawersem znowu osiągamy komin, którym chwilę w górę (VI-), poczym w prawo skos (stałe haki) na stanowisko (VI+). Teraz nieprzyjemny trawers z obniżeniem w lewo w zupełną czeluść i na krawędź komina, skąd pionową ścianką (stałe haki, VI+/VII-) na półkę ze stanowiskiem. Kolejny wymagający trawers (VI+), tym razem w prawo, wyprowadza pod linię zacięć, którymi już łatwiej do góry (V+). Ostatni, bardzo długi wyciąg prowadzi zacięciem, poczym filarkiem po lewej stronie do półki stanowiskowej tuż pod krawędzią Galerii. Po prawej widoczne jest charakterystyczne płytowe zacięcie ze stałymi hakami, które stanowi odmienny, acz trudniejszy wariant zakończenia drogi.



|                               |                                 |                          |
|-------------------------------|---------------------------------|--------------------------|
| ➔ kierunek drogi              | I, II, III, IV, skala trudności | ◆ ruchomy blok           |
| ④ stanowiska osekuracyjne     | nyza                            | 2 stopnie skalne         |
| ⑤a stanowiska pośrednie       | przewieszka                     | połki skalne             |
| K wariant „K” nie jest zalec. | zacięcia                        | 15m odległości w metrach |



wa część Galerii Gankowej: 1. Droga Piotrowskiego z wariantami, Final Cut, 3. Droga Karouska, przebieg hipotetyczny, 4. Droga azek-Smólski, 5. Droga klasyczna.





## Kieżmarski Szczyt, pd. ściana

Uzupełnienie do topo 2 (6) /2003

Prezentujemy drugie wydanie topo środkowej części pd. ściany Kieżmarskiego Szczytu, będące uzupełnieniem opracowania z numeru 6. W nim znajdziecie opis ściany i szczegóły dotyczące dróg, poniżej zaś publikujemy jedynie opisy dróg nie pokazanych poprzednio, oraz uzupełnienia i komentarze.

### 1. Płyty Pochylego VIII-, 5h.

M. Černý, D. Jágerský, O. Pochylý, P. Pochylý, J. Unger-Zrust, 16.08.1967.

1 klasyczne: J. Horváth, I. Spiller, 19.10.1986.

Piękna droga, szczególnie w górnej części, asekuracja dobra.

### 2. Lewy Puškáš, IV, 3h.

A. Puškáš, A. Szabó, 17.07.1949.

Najłatwiejsza droga w tej części ściany, niemniej lita i piękna.

Spity na stanowiskach.

### 3. Wariant w płycie, IV.

I. Jurčišin, F. Kele ml., lato 1951.

### 5. Warianty do Obrovský'ego Kút'a, V+.

Jak pisaliśmy w poprzednim wydaniu topo, najprawdopodobniej oryginalna droga *Diesków* biegnie bardziej w prawo niż wariant, który dziś Słowacy określają jako dół *Wielkiego Zacięcia*. W każdym razie jest to jednak najpopularniejszy sposób pokonania tej części ściany ściany, ale on sam też ma kilka odmian, z czego ta narysowana linią przerywaną nie jest polecana (kruchro i mokro). Czy jest to oryginalna linia *Jona-Silhana* (?) – nie wiemy, być może tak, choć wydaje się, że droga ta biegnie jednak tuż obok, zacięciami po lewej. W każdym razie jest to piękny, zajmujący i bardzo polecany sposób na przejście dołu *Obrovský'ego Kút'a*.

### 8. Płyty Kriššáka, VI+, 5h.

M. Kriššák, G. Hák, M. Neuman, V. Petrik, 20.09.1970.

W poprzednim topo pokazaliśmy jedynie lewy wariant na górnych płytach, tym razem publikujemy oba. Wariant prawy jest łatwiejszy i krótszy, oferuje też lepszą asekurację, niemniej haki są wciąż przydatne. Prawdopodobnie wariant lewy powstał jako zapych, ale jest dość popularny.

VI+ występuje na ostatnim, trzecim wyciągu, ale nie ono stanowi o trudności drogi – jest bardzo dobrze asekurowane i ładne.

8a. warianty na dole, prawd. pokonane przez Birkenmajera. Ok. IV.

### 9. Prawy Puškáš, V+, 4h.

J. Petrlová, A. Puškáš, 12.09.1948.

2 przejście: A. Wala, J. Wala, 15.09.1954.

Bardzo piękna droga o wyrównanych trudnościach, litej skale i wielkiej urodzie. Możliwa do przejścia nawet „na mokro”. W trudnościach kilka stałych haków, poza tym trzeba liczyć na swoje.

### 10. P. Lipka – W. Świącicki, V, 4h.

09.09.1976.

Prawdopodobny przebieg, droga rzadko powtarzana.

### 13. Jašterica, VI+, 3h.

„Cez čierny pás” J. Svrček, J. Hreus, lipiec 1992. Oryginalna wycena V+ – no cóż, chyba lekka przesada. Poważne wspinanie, 2 długie wyciągi, z czego kluczowy jest pierwszy, o długości 55m. Trudności nie przekraczają VI, ale za ciąg i powagę należy się niewątpliwie VI+; drogę „czuje się” wyraźnie trudniejszą od *Obrovský'ego Kút'a* czy *Płyt Kriššáka*. Pionowe wspinanie w rysach (z czego część szerokich, potrzebny camalot #3), asekuracja wymagająca acz nienajgorsza, nieco kruszyny i trochę glonów. Męska przygoda.

### 14. Cesta do hôr, VIII-, 8h.

M. Baláž, I. Minčík, 2003.

Nowa słowacka droga sportowa anonsowana przy poprzednim wydaniu. Ubezpieczona spitami.





Kieżmarski Szczyt  
dół ściany pd.





## Mały Lodowy Szczyt (Siroka Veza) 2466m.

### Ściana południowo-wschodnia

Jest to jedna z bardziej odległych ścian, szczególnie dla zespołów stacjonujących w dolinie. Należy jednak do najpopularniejszych w Tatrach, a to z powodu jej litego charakteru i wybitnej urody wspinaczek nią biegnących. Wysokość ściany osiąga ok. 250m, ale partie podszczytowe są łatwe – na większości dróg trudności kończą się po 4-5 wyciągach. Ale jakie to są wyciągi! Jeden taki wystarczyłby by, aby być ozdobą drogi biegnącej gdzie indziej. Szczególnie *droga Motyki* zyskała sobie wielu zdeklarowanych miłośników, i to pomimo jej niewysokich trudności technicznych (V). Jednak wspaniałe wspinanie w pionowych płytach, po niesamowitych wymyciach i wypłukanych płytach zapadnie w pamięć każdemu, kto się na nią wybierze.

Podejście „od dołu” zajmuje ok. 3h od górnej stacji „Elektricki” na *Siodełku*. Możliwe są dwa warianty – albo najpierw do *Zbójnickiej Chaty* (2h, szlak niebieski) skąd ok. 30-40 min. pod ścianę (żółty szlak), albo z dna doliny Staroleśnej, w miejscu gdzie *Strzelecki Potok* przecina szlak (jeszcze przed jego odbiciem w lewo) w prawo wprost do góry wielkim żlebem, w kierunku *Pośredniej Grani*. Po osiągnięciu płasni *Strzeleckich Pól* w lewo, pod widoczną już ścianę.

Zejsście ze szczytu jest proste i niekłopotliwe – z wierzchołka najpierw na wschód, poczym w dół w kierunku *Czerwonej Ławki* szerokim, piarzystym żlebem, bez trudności, ok. 30 min z powrotem pod ścianę. Jeżeli planujecie powrót w dolinę, to zejść zdecydowanie opłaca się wspomnianym żlebem.



#### 1. Droga Świerza, IV+

W. Kulczyński, K. Piotrowski, J. Rotwand, M. Świerz, 31.08.1912, 2h

Nie tak wspaniała jak droga Motyki, ale niewątpliwie piękna wspinaczka w litym i doskonale asekurowanym terenie.

#### 1a. Wariant do drogi Świerza, VI-

2 wyciągi, IV+, VI-, ładne wspinanie przedłużające drogę.

Autorzy nieznani, całość 2.5h.

#### 2. T. Grosz – L. Páleníček, V+, A1-A2,

14.09.1968, 5h

#### 3. Opavská cesta VI-, A3.

Bradáč – Hruška, 01.10.1977, 9h

#### 4. Všetko v poriadku V, A0

E. Baničová, I. Koller, 18.09.1979, 4h

#### 5. Droga Motyki

S. Motyka – J. Sawicki, 23.07.1932, 3h

Najpiękniejsza droga na ścianie i jedna z najładniejszych w Tatrach, niezapomniane wspinanie w litych, czarnych płytach urzeźbionych wymyciami. Asekuracja dobra, na stanowiskach ringi umieszczone w 2000r przez Vlado Tatarkę.

#### 5a. Wariant Pawłowskiego, V.

Z. Radwańska-Kuleszyna, T. Pawłowski, 24.09.1939, całość 3h.

Ładny i logiczny wariant „prostujący” drogę Motyki.



Drogi na pd ścianie Małego Lodowego Szczytu: 1a. wariant do Świerza, VI-, 1. Świerz, V-, 2. Grosz-Palenicek, V+ A2, 3. Opavská Cesta VI- A3, 4. "Wszystko w porządku" - droga Kollera V A0, 5. Motyka V. 5a. wariant Pawłowskiego V.



Zejsście z Małego Lodowego na Czerwoną ławkę nie nastrecza żadnych trudności i t



# OMÓWIENIE SEZONU LETNIEGO 2005 W TATRACH

## Nowości.

Mijający letni sezon w Tatrach można było podzielić z grubsza na dwa okresy. Pierwszy z nich trwający do końca sierpnia, to okres typowej tatrzańskiej niepogody, która w znacznym stopniu ograniczała możliwość prowadzenia działalności górskiej. Ograniczała, nie oznaczała w tym przypadku, że zupełnie uniemożliwiała, bo występujące, co jakiś czas okna pogodowe pozwalały na nieliczne przejścia, o których będzie więcej w dalszej części omówienia. Z początkiem września nastąpił pogodowy zwrot o 180 stopni i w Tatrach nastąpiła złota polska jesień. W czasie całego sezonu powstało kilka nowych dróg, co świadczy o wciąż niewyczerpanym potencjale eksploracyjnym i kilka nowych kombinacji wykorzystujących istniejące już drogi co świadczy o pomysłowości wspinaczy. Ale po kolei.

Czterech dni na początku czerwca potrzebował zespół w składzie Andrzej Chrobak, Tadek Grzegorzewski i Paweł Jachymiak na wytyczenie nowej drogi na ścianie Wielkiej Turni w Dolinie Małej Łąki. *Cień Monolitu V+ A3+* zaczyna się 30 metrów na prawo od Komina Mroza a w samym monolicie biegnie 30 metrów na lewo od drogi Dąsala i Muskata. Także w czerwcu doczekaliśmy się kolejnej nowej drogi na zachodniej ścianie Zadniego Kościelca. Ściana ta mocno eksplorowana w ostatnich latach doczekała się nowej linii pomiędzy *Surdelem* i *Nieustraszonymi Pogromcami Wampirów*. Autorzy nowości Dorota Kacperek i Jacek Stawarz wycenili trudności drogi na IV+ (szczegóły przebiegu nowej drogi na fototopo w numerze).

W lipcu pogoda nie była już taka łaskawa dla wspinaczkowej braci i tylko pojedyncze dni z umiarkowaną pogodą pozwalały na jakąkolwiek

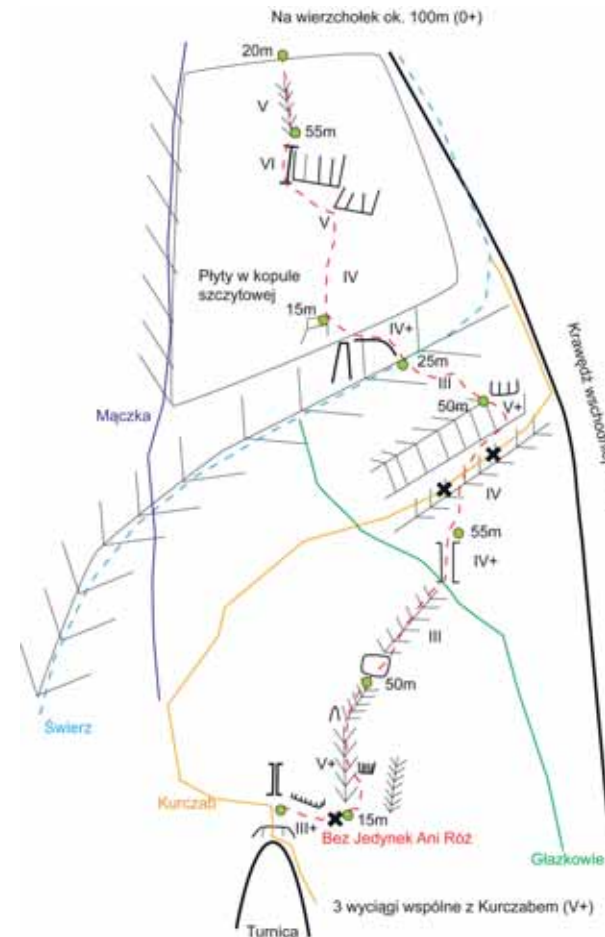
działalność. Jeden z takich dni wykorzystali w ostatni weekend lipca Marcin Poznański i Marek Tkaczyk wytyczając nową drogę na Skrajnym Granacie. *Tatrzańskie Fanki VII* oferują trzy wyciągi wspinania i została poprowadzona OS od dołu w tradycyjnym stylu. Zgodnie z opisem autorów przejścia „Droga startuje kilka metrów na prawo pierwszego stanowiska z Prawego Żebra przez charakterystyczne żółte zacieki prowadzące do rys, którymi w górę do stanowiska (dotąd VI 40m), stąd trawami kilka metrów do góry i jakieś 15 metrów trawers pod zakończenie półki. Dalej w górę trzydziestometrowym (IV) wyciągiem do stanowiska pod ukośnym okapem. Dalej przez przewinięcie na początku okapu (VII) do «rynny» skąd do stanowiska (40 m). Dalej do szczytu terenem II-IV”.

Jak przyznają autorzy drogi nazwa pochodzi od setek much towarzyszących im podczas wspinaczki.

Na kolejną nowość trzeba było czekać do końca sierpnia kiedy to rozpoczął się okres ładnej pogody. Na wschodniej ścianie Mięguszwieckiego Szczytu Wielkiego zespół w składzie Piotr Amsterdamski, Jan Hobrzański i Jakub Radziejewski wytyczył *Bez Jedynek Ani Róż VI*. Droga startuje razem z *Drogą Kurczaba* (pierwsze trzy wyciągi) po czym powyżej turnicy odbija w prawo i systemem zacięć dochodzi do *Drogi Świerza*, którą przecina i wprost płytami pomiędzy drogami Świerza i Mączki wyprowadza na szczyt (szczegóły na schemacie). Na całej drodze poza wspólnym startem z *Drogą Kurczaba* skała dobrej jakości

a asekuracja z kości i mechaników (haki przydatne do budowania stanowisk). Początek września to piękna słoneczna pogoda, którą wykorzystało kilka zespołów na realizację swoich celów a trzeba zauważyć że właśnie w tym okresie w ciągu czterech dni powstały w Tatrach dwie nowe drogi i trzy poważne kombinacje.

Pierwszą z nowości jest *Final Cut VI*. Droga poprowadzona przez Tadeka Grzegorzewskiego i Artura Paszczaka rozwiązuje środek lewej ściany Galerii Gankowej i liczy siedem wyciągów wspinania. Jak wspomina Artur „Szczególnie piękny jest wyciąg początkowy wiodący rysami i zacięciami, ale wyżej wspinanie jest cały czas ładne, unika kruchego terenu i nie schodzi poniżej IV. Na drodze zostawiliśmy ok. 15 haków z tęczowymi pętlami – na wszystkich stanowiskach i kierunkowe (na ostatnim wyciągu pętla bordowe). Droga zaczyna się w miejscu, gdzie skały schodzą najniższej u stóp pionowego zacięcia z prawej i szerokiej rysy







zamkniętej przewieszki z lewej. Dalej droga kieruje się wprost w górę, na szeroki, płaski filar i wychodzi na charakterystyczną litą płytę wyprowadzającą na lewy skraj Galerii.” (szczegóły na fototopo). Warto przypomnieć, że jest to pierwsza droga na Galerii Gankowej od 25 lat!!!!. W pierwszym tygodniu września ściana Kazalnicy wyszła na tyle, że można było prowadzić na niej normalną działalność. Wykorzystało to kilka zespołów co zaowocowało sytuacji niespotykanej od lat – jednego dnia na polskiej ścianie ścian powstały trzy kombinacje. Pierwsza z nich to *Tu i Tam* VII- poprowadzona przez zespół Grzegorzewski – Paszczak. Kombinacja ta łączy pierwszy wyciąg z *Drogi Chrobaka* (obejście Wariantem Małolata za VI+), następnie trawers pod *Kielką*, którym cztery wyciągi (kolejno VII-, V-, VI+, VI-), potem znowu dwa wyciągi *Chrobakiem* (V+ i VII-) i na koniec zamiast wychodzić wprost kruchym i zarośniętym kominkiem – trawers (VI) do wyjścia *Małolata*, które osiągamy na ostatnim stanowisku. Dalej już z lotną do komina około 70 metrów. Tego samego dnia trochę na lewo działał Piotr Korczak i Andrzej Marcisz, którzy pokonaną przez siebie nową kombinację nazwali *Zaczadzony Umysł*. Łączy ona pięć pierwszych wyciągów



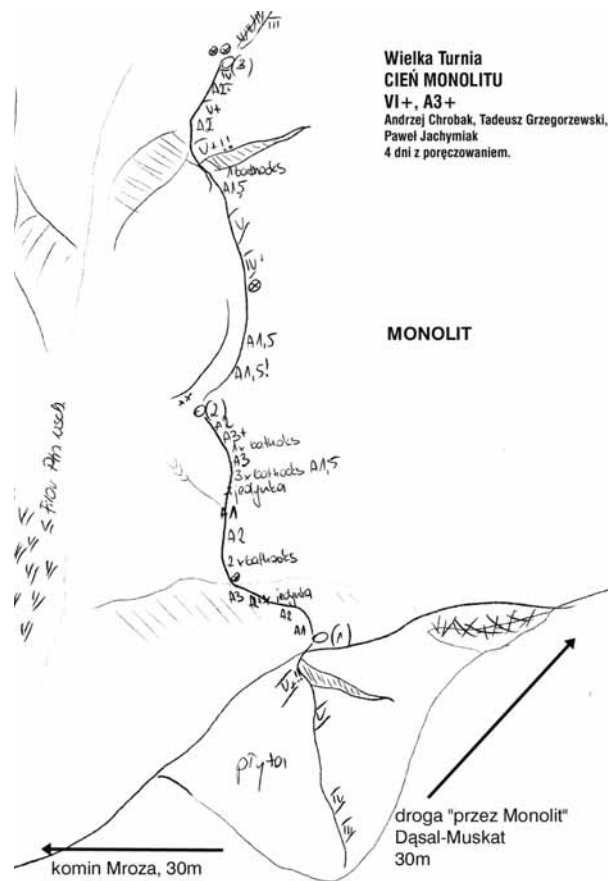
*Wędrówki Dusz* (do Rozdzielni) z *Filarem* Kazalnicy (korzystając z wariantu obejściowego Wielkiego Okapu z 1985 roku także autorstwa Andrzeja). Kombinacja liczy sobie 12 wyciągów i oferuje przepiękną wspinaczkę w dobrej skale w trudnościach do VII (przeważają wyciągi VI). Zdaniem autorów jest to najpiękniejsza kombinacja na Zerwie. Ostatnia z nowości, jaka powstała tego dnia na Kazalnicy to *Kombinacja Miru* VII. Poprowadzona w solowej wspinaczce przez Pawła Miru Koptę, kombinacja powstała trochę przez przypadek bowiem Paweł zgodnie z planem zamierzał przejść solo tego dnia *Drogę Kielkowskiego*. W wyniku słabej znajomości tego fragmentu ściany po starcie *Kielkowskim* (do Bazy VII), poszedł dalej drogą *Czyżewski-Kurtyka*, na której w okolicach okapiku (po zorientowaniu się o pomyłce) powrócił trawersem na *Kielkę* (ponad Ścianką z jedynekami VI+/VII-) a następnie przez Okap „Y”, którego przeszedł *Chrobakiem* i nim już do końca. Ostatnią nową drogą o której uzyskaliśmy informacje jest nowa linia na wschodniej ścianie Rysów – *Rysy na sercu* VI+ A2+. Drogę wytyczyli w dwudniowej wspinaczce Arek Kornas, Łukasz Halski i Piotr Michalski (szczegóły w numerze na schemacie).

## Powtórzenia.

Z ciekawszych powtórzeń w mijającym sezonie na czoło wysuwają się wspinaczki dokonane... przez Słowaków. Na początku września Slavo Mitro i Ivan Mincik, jako trzeci zespół przeszli *VO<sub>2</sub>max IX+* na Młynarczyku w Dolinie Białej Wody. Część drogi Slavo znalazł z przejścia *Directki*, która częściowo pokrywa się z *VO<sub>2</sub>max*. Slavo podczas przejścia próbował zrobić prostowanie dziewiątego wyciągu, ale ze względu na mokrą skałę puściło tylko AF, jednak trudności tego odcinka pokonanego klasycznie mogą sięgnąć stopnia X-. Obaj wspinacze byli zgodni co do tego, że była to ich najpiękniejsza droga, jaką zrobili w Tatrach. Także za sprawą Słowaków powtórzenia doczekała się kontrowersyjna (za sprawą stylu, w jakim została otwarta) *Wędrówka Dusz IX+*

na Kazalnicy. Powtórzenia dokonał znakomity Slavo Mitro tym razem w towarzystwie Matej Bala i czego można było się spodziewać, obaj potwierdzili, że „to ładna droga, ale nie piękna linia” co odzwierciedla wcześniejsze spostrzeżenia, że droga szuka trudności na siłę. Słowacy zaproponowali obniżenie wyceny kluczowych wyciągów i tak ich zdaniem kluczowe wyciągi 6, 7 i 8 wycenione pierwotnie wszystkie na IX+ powinny mieć wycenę kolejno VIII+, IX, IX-. Trzecim przejściem z okolic „IX stopnia trudności” było drugie powtórzenie drogi *Metallica IX+* na Mnichu przez zespół Jurek Gurba i Jacek Jurkowski. Jacek, który prowadził wszystkie wyciągi wyrażał się o urodzie drogi w samych superlatywach z wyjątkiem jednego wykutego chwytu na pierwszym wyciągu.

Z okolic Moka na wyszczególnienie zasługują też przejścia *Wariantu R IX-* na Mnichu w stylu RP dokonane przez zespół Jacek Zaczkowski i Piotr Zgadzaj, *Superaty Młodości VIII+* (także Mnich) – Mariusz Biedrzycki i Grzegorz Rettinger oraz Jurek Gurba i Jacek Jurkowski a także przejście *Kantu Filara oryginalnie VIII-/VIII* przez zespół Michał Kajca i Andrzej Sokółowski. W wymierającej dyscyplinie „przejścia samotne” w mijającym sezonie warto odnotować samotną przebieżkę Szczepana Głogowskiego na trasie Żabia Czuba – Miedziane w 11,5 godz. W innej konkurencji – „przejścia samotne” w tym sezonie najbardziej aktywny był Paweł Kopta, który oprócz wspomnianej nowej kombinacji przeszedł także solo *Preludium VIII* na czołowce MSW. Na Kazalnicy samotnie z problemem *Filara z obejściem VII* poradził sobie Marcin Tomaszewski. Natomiast najlepszą psychą wykazał się Marcin Wernik, pokonując na żywcia *Międzymiastową VI+* na Mnichu i było to chyba dopiero (a może aż) piąte przejście







zenia w 1978 przez Jasia Muskata i Rocha Krokowskiego zakończoną wytyczeniem nowego wariantu VI A0 omijającego kluczowy okap. Tegoroczne przejście jest więc pierwszym pełnym powtórzeniem drogi. Pozostając jeszcze w temacie dróg Rico Malczyka, powtórzenia doczekała się także jedna z jego psychicznych dróg – *Glimidova cesta* VI+ na Niżniej Zawiesistej Turni. Przejście było udziałem zespołu Dorota Kacperek i Radek Kołodziński, którzy podobnie jak Janek Muskat skłaniają się bardziej do wyceny VII-. Na całej drodze są tylko dwa haki, brak stanowisk, skała bardzo ostra a pierwszy wyciąg strasznie kruchy... czyli esencja stylu Rico.

### Wykaz ciekawszych przejść w Tatrach – sezon letni 2005.

#### Nowe drogi, warianty, kombinacje:

tej drogi w takim stylu. Na Hali wspinano się zarówno klasycznie – przejść doczekały się także drogi jak *Sayonara* VIII+ na Zamarłej Turni (Jan Kuczera – Łukasz Nowak), *Buena Vista Social Club* IX- na Kościelcu (Paweł Kopta i Marcin Wróbel), jak i hakowo – *Proszę się wspiąć* VI A2 na Kościelcu za sprawą zespołu Mateusz Bednarek i Piotr Zabierowski.

Na koniec garść informacji z Tatr Zachodnich, gdzie nie tylko zimą coś się dzieje. Poza wspomnianą wcześniej nową drogą na Wielkiej Turni, na ścianie Rękawicy dokonano pierwszego po 32 latach powtórzenia drogi Rico Malczyka *Blood, Sweat and Tears* VI+ A3+. Przejście rozłożone na dwa dni (w pierwszym dniu zaporęczowano pierwszy wyciąg) stało się udziałem zespołu Paweł Jachymiak, Andrzej Chrobak i Adam Śmiałkowski. Droga poprowadzona w 1974 roku miała do tej pory jedną próbę powtó-

#### Galeria Gankowa

*Final Cut* VI; Tadek Grzegorzewski i Artur Paszczak 05.09.2005r., nowa droga w lewej części ściany,

#### Kazalnica Mięguszwiecka

*Kombinacja Miruy* VII; Paweł Kopta 07.09.2005r., nowa kombinacja łącząca m. in. drogi *Kielkowskiego*, *Czyżewskiego-Kurtykę* i *Chrobaka*,

*Tu i Tam* VII-; Tadek Grzegorzewski i Artur Paszczak 07.09.2005r., nowa kombinacja łącząca m. in. drogi *Kielkowskiego* i *Chrobaka*,

*Zaczadzony Umysł* VII; Piotr Korczak i Andrzej Marcisz 07.09.2005r., nowa kombinacja łącząca dół *Wędrówki Duszy* z *Filarem* z *Obejściem*,

#### Mięguszwiecki Szczyt Wielki

*Bez Jedynek Ani Róż* VI; Piotr Amsterdamski, Jan Hobrzański i Jakub Radziejowski 30.08.2005r.,

Rysy, wschodnia ściana, nowa droga:

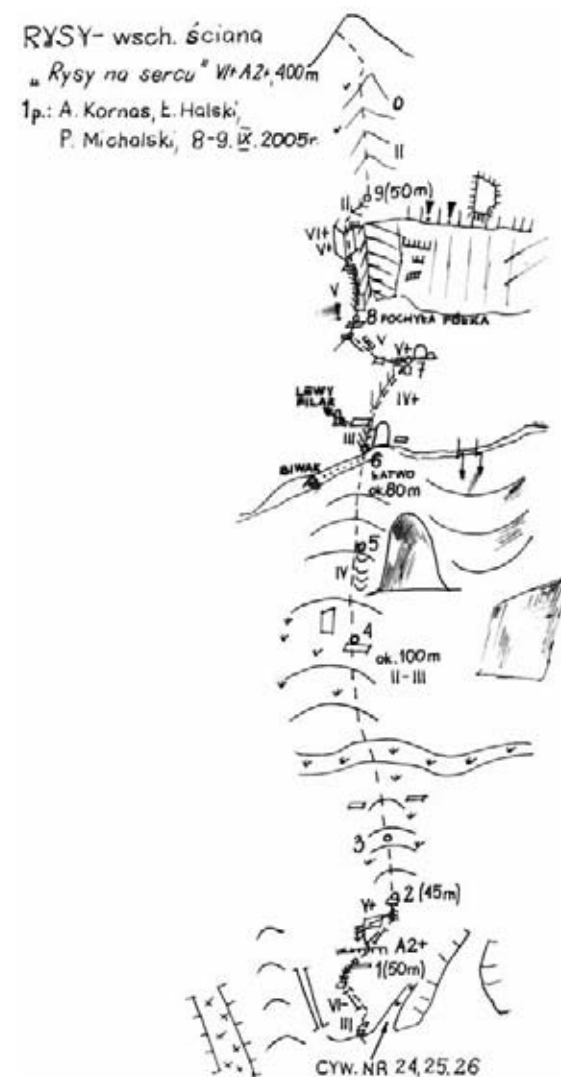
**Rysy na sercu VI+ A2+, 400 m.**

1 przejście: Arkadiusz Kornas, Łukasz Halski i Piotr Michalski, 8-9. IX. 2005.

Droga prowadzi pomiędzy lewym filarem (droga nr 27 w przewodniku Wł. Cywińskiego, t. 9, Rysy), a skośną rampą, na której rozpoczyna się *Diretissima* (nr 24) i dwie pozostałe drogi (nr 25 i 26). Prowadzi w dolnej części ścianą czołową filara, następnie w okolicach ostrza (najczęściej nieco na lewo od niego) w swoim środkowym, łatwiejszym odcinku i na lewo od charakterystycznych, białych okapów z wielkim obrywem i zaklinowanymi, wiszącymi w dachu wantami.

Jedyny wyciąg hakowy wyceniliśmy na A2+ (1 miejsce) z uwagi na półkę, na którą spadnie się, jeśli na starcie nie wytrzyma któraś z wbitych płytko i ukośnie jedynek. Gdyby jej (półki) nie było, na pewno dalibyśmy temu odcinkowi o pół stopnia mniej. Środkowa część to łatwiejsze wspinanie w okolicach ostrza filara (co najwyżej IV+, kilka wyciągów). Biwak wypadł w dwóch trzecich wysokości ściany, na wyraźnym zachodzie (nie jest to jednak dogodne miejsce do spania, tylko pochyla, trawiasta półka, z której w nocy co chwila zsuwaliśmy się w czeluść...). Dzięki temu, że w środkowej części występuje spora ilość łatwiejszego terenu, bez problemu można dokonać przejścia jednodniowego. Górny fragment (4 wyciągi) jest najprawdopodobniej zbieżny lub tożsamy z częścią drogi nr 26 (V+A0). Przebyliśmy go klasycznie (OS), wyceniając wyjściowe zacięcie na VI+ (może VII-, piękne zacięcie z siłowym i wyężającym wyjściem przez małą przewieszkę).

Naszym zamiarem było poprowadzenie drogi przez widoczny z daleka, biały obryw w lewej części tzw. *Wielkiego Dachy*. Byłby to z pewnością najtrudniejszy fragment całej drogi. Jednakże po podejściu pod *Zieloną Płytkę* (pod *Wielkim Dachem*) okazało się, że wylądowaliśmy w linii spadku want, które zwieszają się zaklinowane w dachu ponad nami i wyglądają jakby za chwilę miały spaść. Przepiękne, przewieszzone zacięcie prowadzi w białej, poobrywowej skale wprost



pod dach. Wszędzie wokół pełno jest luźnego, białego rumoszu skalnego, rysa w zacięciu i szczeliny w dachu wypełnione są zaklinowanymi kamieniami, półeczki pokryte odłamkami. Z uwagi na ten przygnębiający widok i nasze silne przywiązanie do życia, zdecydowaliśmy się ominąć Wielki Okap po lewej, czego efektem było dołączenie do końcowego odcinka drogi nr 26 i wyjście wspólnie z tą drogą (prawie na pewno) ponad końcowe spiętrzenie filara. Szczegóły na schemacie.



## Rysy

*Rysy na sercu* VI+ A2+; Łukasz Halski, Arkadiusz Kornas i Piotr Michalski 08-09.09.2005r.,

## Skrajny Granat

*Tatrzańskie Fanki* VII; Marcin Poznański i Marek Tkaczyk lipiec 2005r.,

## Wielka Turnia

*Cień Monolitu* V+ A3+; Andrzej Chrobak, Tadek Grzegorzewski i Paweł Jachymiak, czerwiec 2005r.,

## Zadni Kościelec

*Nowa droga na zach. ścianie* IV+; Dorota Kacperk i Jacek Stawarz 24.06.2005r., nowa droga pomiędzy *Surdelem* i *Nieuustraszonymi Pogromcami Wampirów*,



## Ciekawsze powtórzenia:

### Czołówka MSW

*Porfawora* VIII; Mateusz Bednarek i Beata Pyko, RP/OS

### Kazalnica Mięgusowiecka

*Filar z obejściem* VII; Tadek Kamiński i Krzysztof Sadlej, Flash,

*Kant Filara oryginalnie* VIII-/VIII; Michał Kajca i Andrzej Sokołowski, RP

*Wędrownka Dusz* IX+; Slavo Mitro i Matej Balaz 09.09.2005r., pierwsze powtórzenie drogi,

## Kościelec

*Buena Vista Social Club* IX-; Paweł Kopta i Marcin Wróbel, OS 03.09.2005r.,

*Proszę się wspinać* VI A2; Mateusz Bednarek i Piotr Zabierzowski czerwiec 2005r.,

## Młynarczyk

*VO: max* IX+; Slavo Mitro i Ivan Mincik 03.09.2005r., trzecie powtórzenie drogi,

## Mnich

*Łapiński* VIII-; Mateusz Bednarek i Beata Pyko, RP,

*Metallica* IX+; Jurek Gurba i Jacek Jurkowski 09.09.2005r., drugie powtórzenie drogi,

*Superata Młodości* VIII+; Mariusz Biedrzycki i Grzegorz Rettinger 04.09.2005r., Jurek Gurba i Jacek Jurkowski, RP

*Wachowicz* VIII-; Mateusz Bednarek i Magdalena Wieluszek, OS, Michał Kajca i Andrzej Sokołowski, Flash,

*Wariant R* IX-; Jacek Zaczkowski i Piotr Zgadzaj, RP

## Rękawica

*Blood, Sweat and Tears* VI+ A3+; Andrzej Chrobak, Paweł Jachymiak i Adam Śmiałkowski 23.09.2005r., pierwsze powtórzenie całości drogi,

## Zamarła Turnia

*Mu-mu-mu* VII+; Jan Kuczera i Łukasz Nowak, Flash,

*Sayonara* VIII+; Jan Kuczera i Łukasz Nowak, Flash,

## Przejścia samotne:

### Czołówka MSW

*Preludium* VIII; Paweł Kopta 08.09.2005r.,

*Grań Moka* (od Żabiej Czuby do Miedzianego); Szczepan Głogowski w 11,5 godz.,

### Kazalnica Mięgusowiecka

*Filar z obejściem* VII; Marcin Tomaszewski,

## Mnich

*Międzymiastowa* VI+; Marcin Wernik bez aseku-racji – piąte przejście drogi w takim stylu

Tekst: Adam Śmiałkowski

# Pot, krew i złość

Jesteśmy ponownie pod ścianą. Słońce już dawno zakończyło rundę brzasku i zmierzchu, a my wraz z nim i jeszcze z księżycem, Drogę Malczyka na Rękawicy. W świetle gwiazd, które dostrzegamy, a o których nie mówimy, a jeszcze wyraźniej w świetle czołówek, ładujemy sprzęt do plecaków. Na taśmach i na linie sporo śladów krwi, jedne ciemniejsze, te które zdążyły już zaschnąć i wniknąć w strukturę włókien, inne jaśniejsze, te które przed chwilą zostały postawione przez nie zagojone jeszcze dłonie... zupełnie nieważne, ani dla liny, ani dla drogi, czyje dłonie. Dla nas to też nie jest teraz ważne. Dopiero jutro opuchnięte palce i pozzdzierana skóra będą odczuwalne, ale tylko trochę, kiedy pomyślimy, że wszystko zostało zrobione. Teraz jest satysfakcja, jedyny właściwy zakończenie poniesionych trudów, a wcześniej...

Dzień pierwszy – długi, ciągnący się w nieskończoność, mozolne haczenie jednego wyciągu. Jędrak dorwał się do skały i jakby przyssany do niej spiął wapienny sok przegryzany kroplami własnego potu. Nawet nie wiedział, że dzień się kończy, nie czuł, ile godzina ma minut, i nie myślał o tym, że chce mu się sikać. Gdyby nie ograniczona długość liny, ograniczone możliwości ludzkiego organizmu, chłód nocy i inne gówniane sprawy, przeszkadzające w pchaniu się wzwyż, to może użyłby kolejne haki, byle podejść jeszcze metr, dwa.

Dzień drugi – jeszcze dłuższy, pracowity, ale przede wszystkim zwycięski. Sukces ma wielu ojców, ten jednego, jest nim Paweł.

Przy dźwiękach jelenich ryków „małpujemy” do stanowiska. Drugi dzień jesieni zapowiada się pogodnie, niebo jest bez chmur. To może ostatnia szansa na pokonanie drogi przed przymrozkami. Ściana pozostaje w cieniu. Na sąsiednich wierzchołkach różowi się wschód. U nas jeszcze zimno. Ja w czapce, sadowię się w ławie i łapię w garść żyły liny. Paweł podchodzi do rysy w ukośnym zacięciu i zaczyna żmudną robotę.

Pierwsze ruchy są jeszcze nie wprawne, ale z każdym kolejnym hakiem stają się pewniej-

sze i wiodą go coraz dalej ode mnie. Ukośna rysa kończy się po blisko siedmiu metrach i droga trawersuje w prawo. Paweł wkłada pantofelki i posuwa się nad moją głową. Przyglądam się monotonnej procedurze przepinek, aż zacznę mnie boleć kark od zadzierania głowy.

Czas płynie wśród coraz radszych porykiwań jeleni i w gęstniejącej ciżbie ludzi na dnie Doliny Kościeliskiej. Co pewien czas Paweł komunikuje mi, co mu potrzeba, a ja podsyłam mu szpej na linie podawczej. Po trawersie lina dłuższy czas nie przesuwą się w moich dłoniach. Słyszę, jak Paweł ostukuje dudniące bloki i przeklina włądą wytrzymałość tego, po czym ma iść. Kombinuje, co i jak wbić, żeby nie odlupać bloku, na którym stoi, i żeby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Życzy sobie zestaw różnych haków. Grzebię w żelastwie, wybieram i wpinam w wyblinkę, do podawczej, i tym momencie dwa pęczki haków lecą na dół. Krótki i dobitny dźwięk metalu o skałę informuje, że haki są teraz pod ścianą. Czuję się winny, cięży mi świadomość, że tego sprzętu może zabraknąć w kluczowym momencie i że przez moją nieuwagę całe przedsięwzięcie może wziąć w łeb. Proponuję, że zjadę na dół. Paweł podejmuje decyzję: szkoda czasu, stracimy na tym z godzinę; może uda się skończyć drogę bez tego, co spadło.

Siedzę cicho, skrzętnie i pedantycznie układam wszystko, czym dysponujemy. Segreguję sprzęt na poziomo rozwieszonych pętli; zajęcie to pochłania mnie bez reszty. W nielicznych momentach, gdy liny w przyrządzie zaczynają się ruszać, podaję luz, po czym znów wracam do porządkowania karabinków, pętli i haków. Czas dłuży się niemiłosiernie. Słońce wysuwa się zza filara ściany, jego promienie padają na moją skuloną sylwetkę. Dostrzegam swój cień na trawie pod ścianą. Ściągam powoli, jedną ręką, warstwy ciepłej odzieży. Może to już południe? Nie mam pojęcia, jeszcze nie interesuje mnie to zbyt mocno. Końca dnia upatruję raczej w końcu drogi, niż w jakiejś konkretnej godzinie.



Z dołu dochodzą mnie czyjeś głosy. Początkowo myślę, że to może jakaś hałaśliwa grupka turystów ze szlaku, ale głosy stają się coraz bliższe, a wśród nich wyodrębnia się szczególnie głos kobiety. Po chwili spostrzegam sylwetki osób... jedna, druga... chyba jest ich czworo. Rozmawiamy – to grotolazi z Zakopanego. Wpadam na „genialną” myśl i proszę, by poszukali naszych haków. Są! Po chwili mam je na stanowisku. Obaj z Pawłem jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc, a chyba jeszcze bardziej za ten szczególny zbieg okoliczności. Mnie spadł z serca ciężar winy za ewentualne fiasko powtórzenia drogi, a Paweł z pewnością zyskał dodatkowy sprzęt przed kluczowymi trudnościami.

Jego sylwetka ginie mi z oczu, za to co pewien czas lecą z góry kępy traw i kruche kawałki wapienia. To znaczy, że ktoś tam czyści teren, że poza przesuwającym się słońcem coś się jeszcze dzieje. Słyszę, jak mój partner narzeka na uciskające go pantofelki, zachęcam, by je zmienił. Może to trywialne spostrzeżenie, ale czasem trzeba usłyszeć radę, nawet banalną, aby uwierzyć, że jest do wykonania. Patrzę na Raptawicką Turnię, jest znacznie poniżej nas. Światło dnia zmienia barwę rudziejących traw, po nich rozpoznaję upływ dnia.

Paweł jest w kluczowym momencie drogi, może wybrać albo oryginalny wariant Rico Malczyka (nie powtórzony od trzydziestu lat), albo „wariant-ucieczkę”, zrobiony przez Jasia Muskata. Nie umiem mu doradzić; jest mi wszystko jedno, chciałbym jak najszybciej ruszyć, byle się oderwać od ściany. On pewnie też ma dość i chętnie stanąłby na mniej pionowym gruncie. Bliskość drzew „na wariancie” przyciąga, jednocześnie żal zrezygnować z oryginalnego przejścia drogi, nie próbując choćby jej „pochyłości”. Paweł nie widzi możliwości wbicia czegokolwiek tam, gdzie siedł Rico. Ocenia, że ma jakieś dwadzieścia pięć metrów do końca drogi i pyta, czy starczy liny. Opowiadam, że tak; dotychczas przeszedł około dwudziestu. Upewniam go, że jeśli tylko nie będzie przesztynień, to może ją skończyć jedną długością liny. Decyduje się iść bez zakładania stanowiska, zaoszczędzi nam to sporo czasu.

Jednak wybrał „wariant-ucieczkę”. Wzbudza tym samym moją nadzieję na rychłe „wyswobodenie”, choć z drugiej strony żal mi nieco tego powtórzenia, na którym tak nam zależało. Ale po kilku metrach „ucieczki” Paweł dostrzega możliwość wbicia się w skałę, dotkniętą przez Rico; wraca i walczy. Podałam mu sprzęt i picie.

Znużenie otepia mnie na wszystko, co jest wokół. Ponownie zajmuję się porządkowaniem

szpeju – znam już ilość karabinków, ekspresów, taśm, znam wszystkie odcienie: jedynek, listków, łyżek, diagonali. Znam także każdy centymetr kwadratowy skały wokół mnie, każdą dziurkę i każde wyrzucenie... może by tak policzyć drzewa w lesie (?)

Sylwetka partnera znów znajduje się w polu mojego widzenia. Jest teraz mała, ale za to bliżej szczytu. Wysyłam w górę bathooki, co znaczy że nie ma żadnych szczelin, koncentruję się na uważnej asekuracji. Znowu słychać młotek. Postać Pawła wydaje się sięgać ostatniego punktu pod niebem, jakim jest szczyt. Pytam z nadzieją, ile jeszcze do końca. Słyszę, że pięć metrów. Teraz już jestem pewien, że w końcu się ruszę. Ale te pięć metrów trwa najdłużej. Niecierpliwie się i wciąż dopytuję o to samo. Pięć metrów, trzy metry, dwie godziny, godzina...

Jest! Paweł uradowany, uczepiony kosówki woła: „Mam ją!” Zazdroszczę mu, że siedzi już na zielonych pastwiskach. Pakuję resztę sprzętu, który wędruje w plecaku w górę. Wreszcie mogę się wysikać. Słońce się z lekka różowi, dzień jest bliski końca, czuję, że czeka mnie walka z czasem.

Likwiduję stanowisko. Właściwie męczę się. Wszystko idzie opornie, walczę z każdym hakiem. Tylko przeczuwam, że strasznie długo to trwa, bo poza tępymi uderzeniami młotkiem nic mnie nie obchodzi. Ogarnia mnie zwątpienie, czy zdołam się uporać z taką ilością żelaza w ścianie. Wyobraźnia podsuwa mi nieomal tony haków do wybicia. Zrozpaczony, szukam wsparcia ze strony Pawła. Niestety, nie może nic poradzić na mój „metafizyczny” ból. Staram się odrzucić beznaziejność, jaka mnie przepełnia, i skupić na właściwych ruchach przedramienia. Jedyne, co mogę zrobić, to metodycznie pustoszyć wszystko, co zagradza mi drogę ku zielonemu ostępom pachnącego żywicią lasu. Działam jak automat – czytam szczeliny, ich głębokość, kąt nachylenia tkwiącej w nich stali.

Kiedy dochodzę do pierwszego przelotu, wraca nadzieja, że wyjdę z tej ściany. Paweł z aprobatą przyjmuje te kilka metrów luzu, jakie wybrał, chwali moje dzieło, choć to tylko nabieranie dla podbudowania mojej psychiki. Rysa jest parszywie ułożona, z mojej lewej strony, muszę włączyć lewą dłoń, a przecież nie jestem mańkutem do cholery. Jeden hak spada do podnóża ściany. Żeby nie stracić kolejnych, wiązę kawałek starego repszura do haków i przypinam go do taśmy w uprząży. To wydłuża moją robotę, ale z wolna nabieram w tym wprawę. Coraz sprawniej idzie mi też prze-

pinanie fitek w przelotach, nawet znajduję w tym pewną przyjemność.

Krok po kroku przybywa dzwoniących metalicznie haków, ich melodyka informuje o sprawności ruchów, czy są spokojne, wyważone, czy też szarpane, niepotrzebnie nerwowe. Wsluchuję się w te tony i jakby poddany ich dźwięcznej harmonii usiłuję właściwie wkomponować się w ich stalową równowagę, zrównoważyć swoją ludzką horyzontalność z pionowością wapienia. Dość szybko mijam trawers i łapię kontakt wzrokowy z partnerem. Właściwie widzę tylko gęstwinę kosówki, co mimo zmęczenia mobilizuje mnie do szybszego działania.

Trafiam na ślad Rico. To jest coś, co ma postać haka, ale to kawał żelaza z kuźni Hefajstosa, no może nie tego mitycznego, ale jakiegoś kowala zaprzyjaźnionego z Malczykiem. Zostawiam go dla następców. Jestem w kruchym terenie. To ulga dla startych do krwi palców i dłoni. Kolejne haki po jednym uderzeniu wyciągam palcami. Przybywa metrów, ale i ubywa dnia.

Po raz kolejny mam trudności z wybiciem haka. K r e w n i e z a l e w a! (To słońce tak szybko uciekło). Rusza się żelastwo, ale jest mocniejsze ode mnie. Zostawiam to, ważniejsze by skończyć przed zmrokiem. Może popatrzę sobie w dół chociaż raz – może nie zajmie mi to zbyt wiele czasu, może jak spojrzę ten jeden jedyny raz, to nie potrwa długo, nie przestraszę się i nie ucieknę (tylko gdzie?) – myślę szybko, by znaleźć jakieś wątle uzasadnienie dla tej fanaberii, a zwłaszcza dla straty czasu W dole pion, dziewięćdziesiąt stopni – arytmetyka, geometria – nie, po prostu piękna ściana. Nie ma czasu ani na strach, ani na estetyzowanie.

Docieram do fragmentu ściany, który Paweł przeszedł na bathookach. Próbuję ocenić trudności tego miejsca, ale perspektywa prowadzącego jest poza percepcją drugiego. Ja jestem jak rzemieślnik, mam dobrze wyczyścić drogę i udać się na zasłużony spoczynek. Wydaje się, iż jeszcze dzisiaj go zakoszuję, bo przede mną tylko wyjściowe zacięcie. Na jego początku pod czymś w rodzaju okapiku, zostawiam solidny hak. Po nim wszystkie następne wychodzą jak z masła. W końcu przede mną nie ma już nic! Właściwie nie wierzę, nie przypuszczałem, że mogą być w życiu takie momenty, w których nie pozostaje nic do wybicia.

Przebijam się przez płataninę gałęzi i ledwo ją forsuję. Paweł się śpieszy, ja jestem zmęczony, zamiast języka mam w gardle kołek. Parę łyków

wody z sokiem jest niczym nektar. Nie ma czasu, robi się ciemno, a moja czołówka na dole w plecaku, (dobrze że mamy chociaż jedną). Cóż, mój błąd. Partner przynagliła, rozumiem, ale nie chcę przez nieuwagę przechylić się w dół, który choć niewidoczny w zmroku, to jednak czyha.

Zostaję na bujających się gałęziach i asekuruje Pawła, który gramoli się wprost przez krzewy, w poszukiwaniu łatwiejszego terenu. Po chwili woła, że mogę iść. Ale nie mogę. Likwiduję stanowisko zupełnie po omacku, ogarnia mnie wściekłość, udziela mi się nerwowość. Liczyłem na brawa, a tu jakaś pieprzona kosówka poplątała linę. Słyszę zniecierpliwiony głos, w odpowiedzi krzyczę że nic nie widzę. Wraca Paweł. Opierdalał się. Nie w sensie, że leżymy na zielonych łąkach sprężystej kosodrzewiny, tylko wylewamy na siebie próżne żale. Po chwili jest już spokój, nie ma zbędnych słów. Drzewy na dół, przez chaszczkę i las. Gałęzie łapią mnie za wszystko co mam na sobie; czepiają się mnie, powstrzymują; ciągnę za sobą konary, łamię suche badyle; jakieś dziesięć kilo żelastwa, które na mnie wisi, ciągnie w dół bardziej niż bliskość końca tej mordęgi.

W końcu stajemy pod ścianą, dziękujemy sobie i mówimy przepraszam – jest ok. i po sprawie. Jest po drodze – zrobiona.

Z Dziennika Wypraw 23. IX. 2005





## Pora żegnać się...

Ostatnio, coraz częściej zaczepiają mnie młodzi, że „już pewnie długo wspinam się”.

– No... długo – odpowiadam. I myślę sobie, czy aby nie za długo: – Może rzeczywiście pora żegnać się?... Zwłaszcza że tyłu nie zdążyło.

Zmarła Przełęcz od południa. To był początek. Lato 1965 roku; Siedziałem nad otchłanią Dolinki Pustej i ściągałem linę partnera; – Byłem taternikiem... „– Dzień dobry!” – odezwał się przechodzący Orlą Percią turysta. Nie pamiętam czy „będąc taternikiem” byłem łaskaw odpowiedzieć na pozdrowienie... Pamiętam za to, że kilkadziesiąt metrów dalej ów turysta poślizgnął się... i pożegnał z życiem.

„Trzeba mieć szczęście” – pomyślałem.

Minął rok, później kolejne lata a ja przywoziłem z nizin lęk przed życiem. Uciekając w góry, próbowałem chyba zagłuszyć go – strachem przed śmiercią. Teraz, z dystansu trudno doszukać się w tym odrobiny sensu.

W górach jest się bliżej nieba... ale czy to wystarczy?

Romantyczna przygoda, którą było wspinanie, z czasem stawała się natrętną przypadłością. Owszem, wychodziłem cało z kolejnych opresji ale powtarzanie, że „trzeba mieć szczęście” zaczynało irytować.

– Żyłem... – ale zabrakło sensu. I radości... „– Niedługo miałem duże poczucie humoru, teraz gdzieś zniknęło...” – wyznał pewien człowiek porażony piorunem.

Po co to wszystko?! – myślałem – skoro „mam szczęście” – a szczęśliwy nie jestem..

Jak w owczym pędzie, ile wlezie, używałem życia; – Ze szkodą dla innych. Tylko, że –paradoksalnie – nie przynosiło to żadnego spełnienia.

Niby robiłem, co chciałem, chodziłem własnymi drogami... A było, jak z dziewczyną, która powiedziała po randce: „Ale do niczego nie doszło...”

Więc całe to „szczęście” – i tyle razy – na darmo? – Po co? – Gdzie sens?!

Łaskotało powietrze, uwierały piargi... i życie. Włosy rzędy a wciąż jakoś do niczego dojść nie mogło. – Do czasu...

Do czasu – aż przyszła nadzieja, że dobro i zło, życie i śmierć, mogą mieć jakiś wewnętrzny sens, którego nie muszę rozumieć...

Do czasu, póki nie zaufałem Jezusowi. On jest Panem mojego życia. Teraz szczęśliwego.

Już nie uciekam... – A Ty?

Szczęść Boże – i Tobie, i Tobie.

Lipiec 2005 Jan Hobrzański

Post scriptum:

– Więc mogę już się nie wspinać?!

Prawdę mówiąc, ryzykanckie wspinanie już nie korci. A góry, górami... – Są bliżej nieba.

– Co innego z rowerem; – jazda na moim – stale grozi upadkiem...

Pora się żegnać; – Myślę o nowym rowerze.

Janusz Porożyński 23.08.1973 – 23.07.2005

Regina Kardaś 09.08.1949 – 04.08.2005

Marta Rogalska 06.07.1977 – 18.08.2005

Mirek Sawicki 24.03.1976 – 18.08.2005



Autor nad Czarnym Stawem (19.08.2004) Fot. Mieczysław Prószyński





## Wspomnienie o Januszu Porożyńskim

Słońce jest już wysoko, a my dopiero podchodzimy pod Mięgusza, brnąc w głębokim śniegu. Zakładamy, że powinniśmy zdążyć do schroniska przed zmrokiem, przecież to koniec lutego, więc dzień jest już zdecydowanie dłuższy. Niestety, Drogę Świerza kończymy dopiero w nocy. Błąkamy się po wierzchołku w poszukiwaniu trawersu zejściowego po stronie słowackiej, nawet wydaje się nam, że widzimy majaczące w oddali stanowisko zjazdowe. Jednak nie ryzykujemy zejścia. Siadamy za występem skalnym osłaniającym nas od wiatru i postanawiamy przeczekać do pierwszych promieni słońca. Ostatni lyk herbaty, ostatni cukierek. Jest zimno, wieje silny wiatr, a my we dwóch pod jedną NRC'tką. I ten niezapomniany widok na rozgwieżdżone niebo przy pełni księżyca, na pozornie bliskie światła schroniska i dalekie światła Zakopanego.

...Budzę się z zadumy, jestem przecież zupełnie gdzie indziej: kilka tysięcy kilometrów od Tatr, znacznie ponad wierzchołkiem Mięgusza. Siedzę na śnieżnej półce pośrodku Filara Centralnego Freney. Ale koło mnie siedzi ta sama osoba – Janusz, też jest pełna takich samych gwiazd noc i księżyc w pełni.

Janusz podaje mi kubek gorącej herbaty i czekoladę ze słowami: – Wiesz, tu widok jest taki jak z Mięgusza, tylko coś iglicy Pałacu Kultury nie widać...

– Fakt, iglicy nie widać – odpowiadam, – ale za to wyżywienie jest lepsze – i obaj wybuchamy śmiechem.

Śpimy tym razem nie pod NRC, ale w ciepłych śpiworach. Następnego dnia, pięć dni po opuszczeniu kempingu, kończymy drogę, ale ze względu na zmęczenie i odwodnienie postanawiamy wezwać helikopter. Mimo że jeszcze jest widno, służby ratownicze włoskie i francuskie odmawiają przylotu śmigłowca i zalecają poczekać do rana.

Po mroźnej nocy spędzonej pod granią, o świcie wychodzimy na śnieżno-lodowe plateau pod szczytem Mont Blanc. Ostatnie zdjęcia, klarowanie sprzętu, czekamy na helikopter, który majaczy już na horyzoncie. Helikopter krąży nad nami, a ratownik jednoznacznie nakazuje nam przemieszczenie się na drugą stronę pola śnieżnego. Ruszam pierwszy, za mną Janusz. Po kilkudziesięciu krokach odwracam się w stronę Janusza, poszukuję go wzrokiem, ale widzę tylko pusty stok i helikopter lecący w dół. Stoję zszokowany; nie mogę uwierzyć w to, co się stało, i że już nigdy Janusza nie zobaczę.

W ostatnich latach to najczęściej Janusz był moim partnerem. Wspinaliśmy się razem czy to na Zamarłej, Kościelcu, w Kotle Kazalnicy, czy też na Wysokiej i Granatach Wielickich. Odczuwałem wtedy wyraźnie, że wspinanie jest także jego pasją. Szczególnie lubił wspiąć się w zimie, kiedy to uzbrojony w swoje dwie Cobry swobodnie, z lekkością pokonywał trudności. W zeszłym roku Janusz wraz z Paszczem poprowadził nową, śmiałą i trudną linię na Zamarłej Turni, nazwaną Łabędzi Puch. Na tej drodze znajdziecie kluczowe, siódmkowe Zacięcie Porożyńskiego, które Janusz przeszedł OS'em.

Janusz nie tylko wspinął się, ale również brał udział w życiu organizacyjnym naszego klubu. W zarządzie klubu pełnił funkcję skarbnika, pomagał przy wydawaniu kolejnych numerów A/Zero. Był również współorganizatorem corocznego pikniku dry-toolowego. Brał udział w prawie wszystkich imprezach i obozach klubowych. Nigdy nie przypuszczałem, że będę pisał wspomnienie o Januszu. Chociaż już nigdy Go nie zobaczymy, jestem pewien, że na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Paweł Przybysz



## Regina Kardaś

Zginęła w wyniku wychłodzenia na przymusowym biwaku pod Passo di Bondo (Bergell) w dniu 4 sierpnia 2005 r.

Północny wiatr nadchodził falami. Najpierw słychać było jego wycie gdzieś na filarach Pizzi Gemelli po lewej, potem uderzał wprost w nas, łopotał płachtą po twarzach. Od zmroku skupialiśmy się tylko na trwaniu i przytrzymywaniu płachty. Skąły pokrył lód... Siedzieliśmy przywiązani liną na pochylonej ku przepaści, niewygodnej półce. Godziny mijały, wiatr nie słabł, ale w połowie nocy rozeszły się chmury i poprawiła się widoczność...

Niebo powoli jaśniało. „Za godzinę wszędzie słońce, oświetli nas, ogrzeje, pójdziemy dalej do schronu po włoskiej stronie, okryję Reginę kocami i ugotujemy coś do jedzenia” – myślałem wówczas. Noc okazała się jednak zbyt długa, wydłużona o ponad godzinę dramatycznego poszukiwania zasięgu komórki i kolejne 40 minut oczekiwania na pomoc. Regina odeszła cicho, gdy wypatrywałem nie nadlatującego ciągle helikoptera. Trudno uwierzyć... Nie można się pogodzić.

Miała za sobą 35 lat działalności jaskiniowej w Speleoklubie Warszawskim, którego była członkiem honorowym. Taternictwa jaskiniowego nie traktowała sportowo, podziemia gór były dla niej miejscem przeżyć, doznań estetycznych, fenome-

nem przyrody. Miała też swój udział w ich eksploatacji i dokumentowaniu – w Tatrach, Górach Świętokrzyskich i Prokletiju (Czarnogóra). Poznała wiele jaskiń Polski, a także Bułgarii, Słowacji, Węgier, Austrii, a nawet Estonii. Nie musiały być duże, by być interesujące.

Była muzealniczką (30 lat w Muzeum Ziemi PAN), nauczycielką, popularyzatorką nauki. Jako geolog interesowała się jaskiniami od strony naukowej. Systematycznie uczestniczyła w Sympozjach Speleologicznych Sekcji Speleologicznej Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, których zresztą wiele współorganizowała, będąc wieloletnim Sekretarzem sekcji.

Była także alpinistką. Bardziej alpinistką, niż taterniczką, gdyż oprócz nielicznych dróg tatrzańskich wspiniała się głównie w Alpach. Na wymienienie zasługują z pewnością piękne klasyczne przejścia w jej ulubionym Bergell: północny kant Pizzo Badile, via Bramani (Piodakante) na Punta Pioda (Sciara), via Gerwastutti na Punta Allievi, Bügeleisen na Pizzi Gemelli, via Steiger na Punta da l'Albigna oraz trudne drogi na Spazzacaldeira, Bio-Pfeiler, Piz Frachicchio, Torre Innominata. Podczas 6 pobytów w Bondo uzbierało się tych przejść ponad 20.

Były też inne masywy w Szwajcarii (Bernina – także po stronie włoskiej, rejon Lötschental w Berner Oberlandzie), Austrii (Hochschwab, Dachstein, Gesäuse, rejon Hollental), Włoszech (Grignetta), Francji (Écrins). Wspiniała się także w Prokletiju (Czarnogóra).

Urzekło ją Bergell. Pobyt tam był świętem i nie sprowadzał się tylko do wspinania: długie turystyczne wędrówki, biwaki, poznawanie historii, zabytków, obyczajów, miejscowe znajomości i przyjaźnie.

Odeszła najlepsza życiowa i górską partnerka, dobry i mądry Człowiek.

Rafał Kardaś





#### **Marta Rogalska** **Wspomnienie**

Marta była dla mnie kimś wyjątkowym – największą miłością, partnerem od liny i towarzyszką wypraw w odległe i zapomniane zakątki świata. W Tatry trafiła mając zaledwie kilka lat i do końca góry pozostały jej wielką pasją, wreszcie zabrały Ją na wieczność. Lubiła ten prosty i surowy świat,

w którym nie ma obłudy, pozorów i kłamstwa. Tam właśnie szukała swojej prawdy. Prawdy o świecie, ale przede wszystkim o sobie. Była osobą skromną, nigdy nie szukała zaszczytów.

Przebywała w Kazachstanie, szukając znikającego Morza Aralskiego, w kirgiskim Tien-Szaniu wśród tamtejszych pasterzy. Potem były Indie, Himalaje, trekking wokół Annapurny i odległe Andy peruwiańskie. Chciała zdobyć Ojos del Salado, drugi szczyt Ameryki Południowej. Nie udało się, warunki były zbyt ciężkie. Nie rozpacziała: знаła góry, wiedziała, że to nie ten czas, że będą inne szczyty.

Sierpień 2005 roku: wyprawa w Kaukaz – żmudne przygotowania, nadzieje na owianą legendami Uzbę. Było ciężko; dotarła na plateau pod szczytem, ale warunki okazały się fatalne, trzeba było schodzić. Schodzić w upale przez Lodospad Uzbijski, wśród szczelin i seraków, tak niebezpiecznych, gdy grzeje słońce.

Marta wpada do szczeliny; towarzysze próbują hamować upadek, ale też wpadają. Dwie osoby jakoś wydostają się ze szczeliny, idą po ratunek, Marta i jej partner czekają. Nadchodzą ratownicy, wyciągają ich. Jest dobrze, będą żyć... Nagle most nad szczeliną załamuje się. Nie było żadnej szansy na to, że przeżyli. Zabrakło kilku minut...

Odeszłaś tak szybko, tak wysoko...

Piotr Smagowicz



#### **Wspomnienie o Mirku Sawickim**

18 sierpnia 2005 roku zginął na Lodospadzie Uzbijskim w wieku 29 lat Mirek Sawicki, mój przyjaciel i partner we wspinaczce. W tym krótkim wspomnieniu chciałbym przedstawić sylwetkę Mirka i moje najlepsze wspomnienia ze wspólnych wyjazdów.

Poznaliśmy się pięć lat temu. Obaj mieszkaliśmy w małej miejscowości na wschodzie Polski (Sokołów Podlaski), z dala od jakichkolwiek gór. W tej miejscowości zakon księży Salezjanów ufundował niedużą ściankę wspinaczkową, którą zainstalowano w sali gimnastycznej jednego z gimnazjów. Jak można się domyślać, uczestniczyliśmy w pierwszym zebraniu organizacyjnym. Wraz z bratem Kazimierzem udało nam się zebrać grupę, która regularnie uczęszczała na ściankę. Spotykaliśmy się pod nią dwa razy w tygodniu

i przechodziliśmy coraz to trudniejsze drogi. Urządzaliśmy też zawody dla młodzieży szkolnej, uczyliśmy ją podstaw wspinaczki, na ile pozwalała na to nasza własna wiedza. Bardzo nas to wszystko wciągnęło, nawet kilka razy wybraliśmy się do Warszawy na ściankę wspinaczkową przy ul. Obozowej.

Mirek miał więcej doświadczenia niż ja. Rok wcześniej ukończył kurs taternicki, ja kilka lat wcześniej zaliczyłem kurs skałkowy. W każdy dłuższy i cieplejszy weekend jeździliśmy w skałki Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Wspinaliśmy się w Mirowie i Rzędkowicach; regularne treningi na ściance poprawiły nasze umiejętności, dzięki czemu udało nam się przejść kilka dróg o trudności VI. 2. Następnego roku (2002) wybraliśmy się do Paklenicy w Chorwacji. Cały tydzień przechodziliśmy różne drogi skałkowe, od trudnych technicznie 15-metrowych aż po 6-8 wyciągowe. Mirka jednak nudziła wspinaczka sportowa, chciał zasmakować wspinaczki lodowcowej. Zapisał się do warszawskiego KW, pojechał na dwa obozy zimowe w Tatrach. Latem 2004 roku wraz z kilkoma innymi przyjaciółmi zdobył Mont Blanc. W trakcie tej wyprawy Mirek z towarzyszem uratowali życie turyście, który wpadł do szczeliny. Kto mógł się spodziewać, że rok później on sam znajdzie się w podobnej sytuacji...

Wiosną 2005 roku Mirek zaproponował mi wspólny wyjazd w Kaukaz. „Jest ekipa, wyjeżdżamy w sierpniu” – powiedział. Wiedział, że bardzo mi zależało na tym, aby wziąć udział w tej wyprawie, ale z powodów osobistych musiałem wtedy zrezygnować. Pojechałem tam jednak pod koniec sierpnia – już nie po to, aby zdobywać szczyty. Dotarłem do miejsca, w którym zginął, aby po raz ostatni być razem z partnerem i przyjacielem. Żegnaj Mirku...

Marcin Osipiak





# A może by tak coś zjeść?

Żyjemy nie tylko wspinaniem, i chociaż to banalne, często nie doceniamy znaczenia dobrego odżywiania się. Wielu z nas nie tylko „zapomina” o zabraniu przekąsek na wspinanie, ale też ma tendencję do zaspokajania głodu byle gdzie i byle czym. Wskutek tego często siada forma, a bywa, że przyplątują się i gorsze przypadłości, wywołujące m. in. przerwy w naporze i nieuchronne odwodnienie...

Jako rezydent podzakopiańskiego Dżianisza stołuję się regularnie w kilku miejscach, a wiele – jako zaprzyjęty sybaryta – odwiedziłem i przetestowałem. Nie mam najlepszej opinii o kuchni podhalańskiej i to z powodu nie jej ubogiej oferty, lecz niechlujstwa, z jakim dania „regionalne” są przygotowywane i serwowane „ceprom”. Zaraz po przyjeździe do Zakopanego, kiedy idę Krupówkami, aż mnie wykręca od zapachu starego oleju i przypalonego tłuszczu, charakterystycznego wyróżnika tamtejszych „karczm”. Zjadłszy czasem z musu szaszłyk czy opiekane ziemniaki zawsze potem tego żałuję, gdyż imprese poobiednie towarzyszą mi zazwyczaj znacznie dłużej, niżbym sobie tego życzył.

A zatem gdzie jeść, aby jeść smacznie? Pozwólcie, że podzielę się z wami moimi doświadczeniami.

## Szybko, tanio, bez zadęcia – segment ekonomiczny

Pod skocznia i w kilku innych miejscach znaleźć można, przygotowywane na czymś w rodzaju wielkiej patelni, *ziemniaki z kapustą i golonką*. Ha, ha, widzę już wasze miny – ale nie lękajcie się. Mam delikatny żołądek, a danie to nigdy mi nie zaszkodziło (zazwyczaj proszę, aby nie lano mi za dużo tłuszczu). Ponieważ obrót w takich miejscach jest spory, danie to jest świeże i zaskakująco smaczne. Cena: ok. 12 zł.

Ostało się w Zakopanem parę barów mlecznych, ale nie przepadam za nimi. Klasą dla siebie jest natomiast kultowy **bar „Grot”** przy ul. Kościuszki, koło DT „Granit”, znany niegdyś jako „bar Bi-dula” (gdy mieścił się naprzeciwnie, tam, gdzie teraz jest „Śwarna”). Można tu zjeść szybko i tanio, a choć wewnątrz bywa duszno, to w ogródku jest już całkiem przyjemnie. Za kilkanaście złotych

dostaniemy dobrą domową zupę, w miarę świeże ziemniaki, coś z dużego wyboru surówek, różne mięsa w sosie (niezły jest chrzanowy), kotlety et consortes. Wegetarianie ucieszą się z *kaszy gryczanej z jajkiem sadzonym* i nieśmiertelnego *omleta z jagodami*, bywają też (nie zawsze) *kluski leniwe*, niezłe są *naleśniki*. Do tego obowiązkowy *kompot*. Wcale nie taki zły, jak niektórzy uważają, jest **bar „Morskie Oko”** na Krupówkach, dają tam bowiem najlepsze *kluski leniwe* w okolicy (8 zł). Godne polecenia są też *kotlety mielone*, odradzam natomiast kurczaka i schabowego – niejadalne. Mizeria też pozostawia wiele do życzenia, a frytki są zazwyczaj twarde jak podeszwa. Niemniej jednak pozostałe punkty menu są zupełnie w porządku, a dla *leniwych* wpadam tam całkiem często.

Zupełnie niezła jest też oferta **baru „Grosz”** (pod „Alpin Sport” na Krupówkach), choć nieco duszna atmosfera w suterenie może skutecznie zniechęcić, zwłaszcza nowicjuszy. Bywalcy jednak chwalą sobie smaczne, domowe jedzenie oraz to, że właściciel „Grosza” jest miłośnikiem gór i turystyki i można z nim wesoło pogawędzić o byłych i planowanych wyprawach górskich. „Grosz” oferuje ponadto **10% zniżkę dla członków KW**, zaś pogawędka jest „w gratisie”.

Odradzam wszystkie *góral-burgery* i *niby-kebaby*. Kosztują dużo, a mięsa w nich tyle, co kot napłakał.

## Karczmy regionalne – segment popularny

W tej kategorii nie masz mistrza nad Śliwę w Chocholowie. **Restauracja „U Śliwy”** ([www.sliwa.chocholow.pl](http://www.sliwa.chocholow.pl)), mieszcząca się na skrzyżowaniu



głównej drogi przez Chocholów z drogą do przejścia granicznego Sucha Hora, od wielu już lat ujmuje miłą atmosferą, szybką obsługą i dobrą, domową jakością przyrządzanych dań. Świetne *zupa pomidorowa* i *gulaszowa* (po 3 zł), pyszne kotlety (cały zestaw 12 zł), świeże ziemniaki, dobre surówki (np. prawdziwa mizeria, a nie ogórki z kleksem śmietany jak to przeważnie serwują nam gdzie indziej). Szczytem mistrzostwa kulinarnego jest *baranina na kości w sosie własnym* (18 zł) – po prostu wyborna, nigdzie na Podhalu, choć baranów to ojczyzna, nie zjecie lepszej. (Wiem, co mówię, bom baraniny jest adherentem). Na tym jednak nie koniec, bo doskonałe *pierogi z jagodami* (7 zł) to kolejne *specialité de la maison* – pyszne jak u babci. A zapić można to wszystko nie tylko metrem piwa, ale i kieliszkiem całkiem dobrego rumuńskiego wina! Jeśli zaś myślicie, że do Chocholowa daleko, to mówię wam, że tych dodatkowych 15-tu minut nie będziecie żałować, szczególnie gdy zobaczycie rachunek, o prawie połowę niższy niż w Zakopanem (pełny obiad na 2 osoby – ok. 30-40 zł). Na jedno trzeba się však przygotować – w popularne święta i weekendy w sezonie bywa tam tłoczno.

W podziemiach budynku Morskiego Oka mieści się **restauracja „Morskie Oko”**, która serwuje zupełnie smaczne potrawy (wszakże znacznie droższe niż „U Śliwy”: też 30-40 zł, ale na 1 osobę), w tym „baraninę nr 2” Podhala – *filety baranie w sosie*. Miejsce to ma jedną zasadniczą wadę – obsługę, zazwyczaj niezbyt rychliwą. Zdarzyło mi się opuścić ów lokal po 15 minutach daremnego czekania na choćby jedno spojrzenie bardzo zajętej sobą kelnerki. Jednak nie odradzam: może będziecie mieć fart. Z reguły nie ma tam tłoku, bo lokal jest obszerny, wewnątrz obraca się wielkie młyńskie koło wodne, a w oczku pływają pstragi. Dzieciom podoba się to bardzo!

Znana wielu i dość lubiana jest **pizzeria „Adamo”** w dolnej części Krupówek, gdzie bardzo obfite porcje przyciągają rzesze klientów. *Pizza* jest nawet w porządku, zupy też, a dania główne mają naprawdę biblijne rozmiary. Przyznam jednak, że nie przepadam za dodatkami, szczególnie utopionymi w tłustej śmietanie surówkami (kiszone ogórki w śmietanie, oj, oj...), a jeśli chodzi o desery, to raczej odradzam, szczególnie te z brzmiącymi z włoska nazwami. Z oryginałami nie mają wiele wspólnego, niestety.

Nieco poniżej dawnego „Alpin Sport” na Krupówkach znajdziecie **smażalnię ryb**, jedno z najbardziej obleganych miejsc (że też nie daje to

góralom do myślenia!). Ryb tu wybór wielgachny, ale najlepiej nie eksperymentować. Pstrąg, szczupak, sandacz, sola, dorsz, a do tego ziemniaki i dobre surówki – czego trzeba więcej? Ceny całkiem przystępne (20-30 zł na osobę), i generalnie jedna wada – straszny tłok.

Dla tych, co nie lubią nowych doświadczeń, zawsze pozostaje **„Pizza Hut”**, gdzie poza *pizzą* można wsunąć całkiem dobrą *torilla* czy *pieczone ziemniaki z boczkiem*, a do tego najróżniejsze sałatki.

## Restauracje – segment prestiżowy.

Zacznę od jednego z moich ulubionych miejsc, które tchnie duchem tego, co w starych czasach było dobre. To **„Poraj”** (tel 018 20 637 65) wyeksmitowany przez „Telepizze” ze swego tradycyjnego miejsca na ulicę Zamoyskiego 13. Tutaj zdarza się usłyszeć zamówienie „setkę i śledzika”, serwowany jest perfekcyjny *tatar* (18 zł) oraz *karp po żydowsku* (12 zł). „Poraj” to tradycyjna kuchnia wschodniopolska, z *pielmieniami* (specjalnie piero-





gi z mięsem, 15 zł), doskonałym barszczem ukraińskim (10 zł), jesiotrem (35 zł), *kotlecikami z baraniny* (23 zł całe danie), *pieczenią jagnięcą* (zestaw z kluseczkami 28 zł) i wieloma innymi frykasami. Ja zawsze zaczynam jednak od *kanapki z awanturką* (specjalnym twaróżkiem na ostro – 3 zł sztuka) wzbogaconej łososiem, szynką albo kawiozem. Idealny to *appetizer*! Można tu też dostać, a to już ewenement, *kaszę gryczaną i kluski śląskie*. Dla wielbicieli grzybów „Poraj” to niemal Mekka; specjalnością zakładu są doskonałe *rydze z patelni* (15 zł) i *borowiki w śmietanie* (25 zł). Bardzo popularny jest też rodzaj gulaszu *kociołek podpalany* 18 zł. Ceny są – jak na ten segment – dość umiarkowane. Dwie osoby zjadają porządny obiad w cenie poniżej 100 zł, da się nawet zejść poniżej 60 zł.

Niedawno otwarta włoska restauracja w budynku hotelu „Giewont” (w miejscu „Chłopskiego Jadła”) oferuje całkiem przyzwoite potrawy, choć do włoskiej subtelności jest jej równie daleko, jak z Podhala do Włoch. Niemniej jednak potrawy są w porządku, a *pizza* zdobyła ponoć tytuł najlepszej w Polsce. Serwowane wino stołowe jest całkiem przyzwoite (niestety, tylko jeden rodzaj, przy tym trudno dowiedzieć się, jaki), a wielkość porcji zadowoli największych głodomorów. Kuchnia najwyraźniej dostosowała się do polskich przyzwyczajeń i do zamawianego mięsa dodawana jest prawdziwa góra ziemniaków. Ze smutkiem, ale odradzam desery – *tiramisu* okazało się prawdziwą porażką, którego nawet ja, potworny łasuch, nie dokończyłem! Obiad dla dwojga: 80 -100 zł.

Jest jednak na Podhalu prawdziwa perła, miejsce, którego istnienia nigdy bym się nie domyślił, gdyby nie „Teddy Montano” Grzegorzewski. Pamiętam jak dziś, kiedy wracając z Wołowej rozpoczęliśmy dyskusję o preferencjach kulinarnych. Wnet okazało się, że obaj jesteśmy italofilami. „I mówię ci – zapewnił mnie wówczas Tadek – jaką mamy świetną pizzerię w Nowym Targu!”. „Cóż wy tam możecie mieć” – pomyślałem jak rasowy szowinista, jednak dałem się namówić na inspekcję. Już po wejściu do „**Villa Toscana**” (Nowy Targ, Rynek 17, tel. 018 26 40 666) zatkało mnie zupełnie – wewnątrz urządzone ze smakiem, z konieczną domieszką włoskiego kiczu, ale i z nieodpartym urokiem. Moje oczy natychmiast dostrzegły piec do pizzy opalany drewnem. Szybka i bezpretensjonalna obsługa, w większości

nadzwyczaj urodziwa (w większości, bo pleć brzydka też się pojawia) natychmiast pojawiła się przy nas. Dobrze pamiętam pierwszą wymianę zdań, gdy spytany o coś do picia zaczęliśmy bez wielkiej nadziei: „może jakieś *primitivo*?”, a sympatyczny kelner bez mrugnienia okiem zripostował „*Primitivo* dziś akurat nie ma, ale polecam panu *malvasia nera*”. Wino było przepyszne (*Mastroleo*: kieliszek 11 zł, butelka tylko 50!), karta oszałamiająca wyborem, a potrawy, które wjechały potem, przyprawiły mnie o wstrząs emocjonalny. *Pizza*, którą serwują w „Villa Toscana”, mogłaby być z powodzeniem podawana w Toskanii – jest perfekcyjna, i w mojej opinii to jest właśnie najlepsza jej w Polsce przedstawicielka (serio!). Kosztuje zaś 12 zł (olbrzymia *margherita*), jej kolejny wielki atut. Przepyszne są przystawki, z *carpaccio wołowym* (solidna porcja 20 zł) i *salatką gambaretti* (22 zł) na czele. Szkoda jedynie, że *carpaccio z lososia* jest przyrządzane nie z surowego, lecz wędzonego „salomona”. Dania główne to przede wszystkim zaskakująco świeże owoce morza (*cozze gigante* – wprost rarytas, 28 zł), polecam też *oratę z grilla* (100g 15 zł) albo *rybę mąślaną w sosie livornieńskim* (13 zł/100 g – w cenie pstrąga, imaginujcie sobie!). Jednym z moich ulubionych dań są kapitalne *gnocchi w sosie pomidorowym z bakłażanem i miecznikiem* – porcja 29 zł, a przyjemności za 100! Popularne są *zapiekane brokuły z beszamelem* (10 zł), *cielęcina z prawdziwkami* (24 zł), *stek* (500g za 35 zł) oraz *makaron domowy z prawdziwkami* (18 zł) Jedyna rzecz, która bywa niewypałem, to *ziemniaki pieczone z rozmarynem* (6 zł) – świeże są znakomite, ale czasem, spieczone, składają się z samej skorupki. Na koniec zaś desery – nie można ich pominąć, bo są bezkonkurencyjne (wszystkie po 12 zł): *deser Villa Toscana* składający się z truskawkowego *tiramisu*, *panna cota* (odpowiednik *crème brûlée*) i lodów, bezbłędne *tiramisu*, przepyszne *tartuffo* (mus czekoladowo-waniliowy) oraz absolutnie bezkonkurencyjna *meringa* – bezy z lodami w sosie ajerkoniakowo-owocowym – po prostu poezja!!!

#### Na deser – dla każdego

Miejscem nie do pominięcia jest jedyny w swoim rodzaju *koktajl-bar „Gabi”* – ten stary, oryginalny, niepodrabialny. Mieści się teraz przy ul. Zamoyskiego 10, w nowym, przyjemnym pomieszczeniu. „Gabi” serwuje najlepsze desery pod słońcem – absolutnie topową



czekoladę na gorąco (ostrzegam: jeśli chodzi o kalorie, jest to bomba atomowa), fantastyczne *kremówki wiedeńskie*, kapitalne lody (śmietankowe są niedoścignym wzorem), pyszne ciasteczka (*klawisze*, *florentynki*) no i oczywiście nieśmiertelne zestawy w rodzaju *ambrozja*, *lody super*, *sultańskie i czarno-białe*. A wszystko to okraszane uśmiechem sympatycznych pań zza lady. Być w Zakopanem i nie odwiedzić „Gabi” to zbrodnia na samym sobie, a za to, jak wiadomo, idzie się do piekła. I słusznie!

Artur Paszczak

## Morskooczne Jaja 2006

Tuż przed Sylwestrem 2005/2006 z funkcji Kanclerza Morskoocznej Kapituły Jaj zrezygnował (świadomie i dobrowolnie, znudzony 15-letnią społeczną działalnością na tej niwie) Andrzej Baron Skłodowski, przekazując urząd w spracowane dłonie Andrzeja Młodego Machnika. Młody błyskawicznie przejął inicjatywę i niebawem poprowadzona przez niego Kapituła ogłosiła, że:

#### Złote Jajo

otrzymało **schronisko przy Morskim Oku** – za likwidację ostatniego autentycznego Waleta.

#### Srebrne Jajo

przypadło **Marcinowi Kukielce**, który zwrócił uwagę na to, iż Tatry szybciej zwietrzeją bez dotychczasowego kierownika COS Betlejemka.

#### Brązowe Jajo

dostała **Elżbieta Głajza Fijałkowska** – za to, że woli odpoczywać po wspinaniu w środowisku bardziej przyrodniczym niż dyskotekowym.

#### Jajo na twardo

przypadło **Zofii Bachledzie** – samotnej kobiecie wśród zgrai seksistowskich chłopów – za uporczywe starania o uzyskanie patentu przewodnika IV/BV, ale nie w górach tylko na zebraniach i w salach sądowych.

#### Jajo na miękko

trafiło się całej reszcie – za robienie ponurych a nie wesołych jaj, które nie kwalifikują do przydzielenia Złotego Jaja.

**Kanclerz Andrzej Młody Machnik**

Wydano 31 grudnia 2005 r.



## galeria Pawła Strzeleckiego

---







## I N F O K L U B O W E

Wybierz Klub Wysokogórski Warszawa. Korzyści z przynależności do naszego Klubu to m. in.:

1. Dzięki legitymacji klubowej dostępne są zniżki w wielu schroniskach (także w Alpach).
2. Współpracujemy z wieloma sklepami i firmami, gdzie Klubowicze mogą kupić nawet na 20% zniżki.
3. Wynajmowana jest ściana na Nowowiejskiej i oferujemy najtańsze karnety wejściowe na ściankę w OSIR Obozowa (tańszy wstęp!!!).
4. Dostajesz za darmo najlepsze środowiskowe pismo w Polsce (AZero) pocztą do domu.
5. Organizowane są obozy i zgrupowania – latem oraz zimą (w ramach obozów na Słowacji – zapewnione jest ubezpieczenie).
6. Podczas obozów można się doszkaląc pod okiem doświadczonych instruktorów.
7. Szkolenia klubowe dla Klubowiczów są dostępne ze zniżką.
8. Organizujemy spotkania i slajdowniska w lokalu klubowym.
9. Możliwość korzystania z budkerowni klubowej w ramach Sekcji Sportowej.
10. Możliwość działania w Sekcji Taternictwa Jaskiniowego.
11. Jedne z najniższych w Polsce składek.
12. Możliwość zaprezentowania swoich osiągnięć na stronie Klubowej i w AZero.

### Jak przystąpić do Klubu.

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego Klubu, uzołnowić w wyprawach, wyjazdach, wyloczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść swój wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy!

Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty) lub wykaz przejść (może być skałowych) – to otrzymasz status członka zwyczajnego. Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do Klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz Klubu. Status uczestnika otrzymują także osoby poniżej 16 roku życia. (przy zapisie muszą przedstawić pozwolenie od rodziców)

### Zapisać się do Klubu można:

1. Osobiście – we wtorki w godzinach działania ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, godz. 20-22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować Klub@kw.warszawa.pl lub sprawdzić telefonicznie 022-754-15-38)
2. Korespondencyjnie – opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto: Millennium SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085

I przesyłając dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu ([www.kw.warszawa.pl](http://www.kw.warszawa.pl)). Przystępując korespondencyjnie – legitymację wyślemy Ci pocztą do domu. (zdjęcie wkleisz samemu!). Prosimy o rzetelne wypełnianie formularza i podanie co najmniej jednego numeru telefonu czy też e-maila. Dane kontaktowe naprawdę są potrzebne.

Wpłacaną kwotę na składkę i wpisowe określasz sam na podstawie poniższych informacji o opłatach (w polu „Info o zniżkach” należy wpisać odp. informację – np. Nr legitymacji innego Klubu, Nr licencji instruktorskiej).

Prosimy w imieniu rodzin, którym pomagamy o dodatkowe dobrowolne wpłaty na Fundusz Berbeki – z góry DZIĘKUJEMY!

### Składki:

1. Uczący się do lat 26 – opłata roczna 40 PLN + 40 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (od lipca) składka 30 PLN + wpisowe 40 PLN.
2. Osoby powyżej 26 lat – opłata roczna 60 PLN + 60 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku – składka 40 PLN + wpisowe 60 PLN.
3. Instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym.
4. Dzieci i młodzież do lat 26, jeżeli oboje z rodziców są członkami KWW – 50% zniżki w składce i wpisowym.
5. Dzieci i młodzież do lat 26 posiadający jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym.
6. Członkowie innych Klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego.
7. Emeryci i renciści bezpłatnie.

### Obozy Klubowe:

Co roku Klub Wysokogórski Warszawa organizuje wyjazdy dla członków Klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczki oraz wymianę doświadczeń pomiędzy bardziej doświadczonymi a mniej doświadczonymi kolegami (koleżankami) Klubowymi.

W obozie może wziąć udział każdy członek Klubu. Jednak ze względu na ograniczoną ilość miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem na oboz zobowią-

zana jest złożyć pisemną deklarację w której zawarła powinny być przejścia (zimowej) z ostatnich dwóch lat.

W wyniku coraz to większego zainteresowania wyjazdami klubowymi ilość miejsc z roku na rok zostaje zwiększona.

Dotychczas zostały zorganizowane obozy:

- 1999 r. – oboz zimowy w Dolinie Kiezmarskiej.
- 2000 r. – oboz zimowy w Dolinie Mieguszwieckiej, oboz letni w Chamonix.
- 2001 r. – oboz zimowy w Dolinie Wielickiej.
- 2002 r. – oboz zimowy w Dolinie Staroleśnej, oboz letni w Chamonix.
- 2003 r. – oboz zimowy w Morskim Oku, oboz letni w Bergulu.
- 2004 r. – oboz zimowy w Dolinie Mieguszwieckiej, oboz letni w Gran Paradiso.
- 2005 r. – oboz zimowy w Dolinie Wielickiej, oboz letni w Courmayeur.
- 2006 r. – planowany oboz zimowy w Dolinie Kiezmarskiej i oboz letni w Val Masino/ Val di Mello

### Sekcja Wspinaczki Sportowej

W Klubie Wysokogórskim Warszawa powołana została do życia sekcja wspinaczki sportowej. Jej celem jest wyłonienie spośród członków KW osób wyróżniających się we wspinaczce sportowej i umożliwienie im treningu jak również startu w zawodach wspinaczki sportowej. Członkowie sekcji traktowani są jako zawodnicy Klubu Wysokogórskiego Warszawa.

Zawodnicy Klubu Wysokogórskiego Warszawa mają zagwarantowaną licencję zawodniczą uprawniającą do występowania w zawodach firmowanych przez PZA. Ponadto przewidziane jest dofinansowywanie na zawodach jak również dodatkowe wynagrodzenia dla najlepszych zawodników.

Zawodnikami Klubu może zostać każda osoba zrzeszona w Klubie Wysokogórskim Warszawa reprezentująca wysoki poziom wspinaczki sportowej poparty przeżyciami w skałach oraz odpowiednio wysoką pozycją w rankingu PZA, lub równie prestiżowym rankingu.

Wszelkie zapytania oraz wnioski dotyczące sekcji prosimy kierować do Kubu Ziolkowskiego ([bratku@yahoo.com](mailto:bratku@yahoo.com)) i Grzegorza Graczyka ([ggraczyk@op.pl](mailto:ggraczyk@op.pl)).

### Ścianki klubowe

Klub Wysokogórski Warszawa wynajmuje obecnie jeden obiekt wspinaczki sportowej. Jest to: ścianka wspinaczkowa w Centrum Wspinania „W Pionie”. Członkowie Klubu mogą też nabyć najtańsze karnety upoważniające do korzystania ze ścian wspinaczkowej w Centrum Wspinaczkowym „On Sight”.

Do korzystania ze ścianki upoważnieni są, w trakcie godzin klubowych, wyłącznie jego członkowie mający uregulowane składki na bieżący rok. Należy spodziewać się możliwości kontroli legitymacji klubowych. Do takiej kontroli upoważniona jest osoba opiekująca się danego dnia obiektem sportowym.

Nowowiejska

Centrum Wspinania „W Pionie” – Nowowiejska 37B – wtorki w godz. 20.00-22.15, opłata 10 PLN

Obozowa

Hala Sportowa Kolo – Obozowa 60, Centrum „On Sight” – czwartki w godz.

19.00-22.00, soboty w godz. 16.00-22.00 opłata 10 PLN

### Kursy i szkolenia:

Komisja Szkolenia organizuje kursy wspinaczkowe dla początkujących i zaawansowanych w trybie całorocznym. Szkolenia prowadzą instruktorzy z naszego Klubu, współpracujemy też z instruktorami z całej Polski. Komisja Szkolenia KWW przeprowadza egzaminy środowiskowe na Kartę Wspinacza i Kartę Taternika.

Oferujemy następujące rodzaje kursów według schematu szkolenia wspinaczkowego Polskiego Związku Alpinizmu: <http://www.pza.org.pl/szkolenie>, oraz dodatkowe przygotowywane według programu autorskiego przy realizacji konkretnych zamówień:

Kurs wspinaczki na sztucznej ścianie. Przygotowanie do samodzielnego korzystania ze sztucznych obiektów wspinaczkowych.

Podstawowy kurs wspinaczki w skałach. Przygotowanie do samodzielnego wspinania w rejonach skałowych niemających charakteru wysokogórskiego. Ukończenie kursu uprawnia do przystąpienia do egzaminu na Kartę Wspinacza.

Kurs wspinaczki sportowej.

Kurs taternicki. Przygotowanie do samodzielnego i bezpiecznego uprawiania wspinaczki w górach porośniętych pokrywą śnieżną.

Zimowy kurs wspinaczkowy. Przygotowanie do samodzielnego i bezpiecznego uprawiania wspinaczki zimowej, oraz w górach lodowcowych.

Zimowy kurs turystyki wysokogórskiej. Przygotowanie do samodzielnego poruszania się zimą w terenie górskim w terenie niewspinaczkowym, oraz turystyki alpejskiej.

Informacje i kontakt w sprawie kursów:

Tomek Tokarz tel. (0) 697 343 808

Wiesiek Madejczyk tel. (0) 603 062 633



# ZNIŻKI

Za okazaniem legitymacji (połączone składowi za bieżący rok) przysługują zniżki w następujących firmach:



**Specjalna oferta MONTANO dla KWW** – zniżka 20/30%  
W związku z nawiązaniem współpracy z producentem odzieży i sprzętu wspinaczkowego „Montano” uzyskaliśmy bardzo atrakcyjną zniżkę – członkowie KWW mogą kupować w cenach hurtowych + 10%. Cennik w formacie EXCEL na stronie KW Warszawa. Kto nie wie czym zajmuje się Montano, ten niech odwiedzi <http://www.montano.pl>.



**Yeti zniżka dla członków KW Warszawa 25%**  
Dla klubowiczów dostępna jest nowa zniżka w firmie Yeti – producenta śpiworów i ubiorów górskich.  
Więcej informacji: <http://www.yeti.com.pl>



**Marabut – 20%**  
E-mail: [info@marabut.pl](mailto:info@marabut.pl)  
Internet: <http://www.namioty.pl>  
Namioty ekspedycyjne, wyprowadzające.



**ROSSIGNOL – 10%/20%**  
Dla członków klubu za okazaniem specjalnej karty rabatowej:  
10% zniżki na zakupy (15% na produkty PEAK PERFORMANCE) i 20% zniżki na usługi w punktach:

Rossignol Trendy Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12, Warszawa tel.: (022) 541 34 78  
Rossignol Passion CH Sadyba Best Mall, ul. Powiśńska 31, Warszawa tel.: (022) 550 33 35  
Rossignol Quiksilver Rynek Główny 13 Kraków tel.: (012) 617 02 19  
Rossignol Testing CH Sadyba Best Mall, Rondo Kuźnice, Zakopane  
Rossignol Serwis Stok narciarski Szczecznice  
Rossignol Serwis Kasprowy Wierch, Stacja Kolejki



**PLUS Mountain Bike Shop – 10%/20%**  
Rowery górskie, części, akcesoria  
Warszawa – Ursynów ul. Zamiary 12 tel. 022 644 29 02  
E-mail: [plus@rowery.com.pl](mailto:plus@rowery.com.pl)  
Internet: <http://www.rowery.com.pl>  
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji 10% zniżki na rowery i akcesoria oraz 20% na serwis.



**Małachowski – Pracownik Sprzętu Alpinistycznego – 5%/20%**  
Dla członków klubu 5-20% zniżki w zależności od produktu.  
E-mail: [info@malachowski.com.pl](mailto:info@malachowski.com.pl)  
Internet: <http://www.malachowski.com.pl>

**Sklep firmowy Campus – 10%**  
Warszawa ul. Puławska 48 – Centrum Handlowe Auchan

**Alpin Sport Zakopane – 10%**  
Zakopane ul. Krupówki 14  
E-mail: [alpin@alpinsport.com.pl](mailto:alpin@alpinsport.com.pl)  
Internet: <http://www.alpinsport.com.pl>

**Sklep HiMountain – 10%**  
Warszawa Al. Jerozolimskie 148  
(Centrum Handlowe Reduta)



**Sklep climbing-shop.com – 10%**  
Internet: <http://www.climbing-shop.com>



**Mallan Extreme – 10%**  
Warszawa Al. Jana Pawła II 32

**Roberts – 10%**  
Gdynia ul. Nowodworcowa 15  
Internet: <http://www.roberts.pl>  
E-mail: [roberts@roberts.pl](mailto:roberts@roberts.pl)



**Sieć sklepów Campus Jacka Fludera – 10%**  
Kraków CH M1 Aleje Pokoju 67, Sienna 14  
Wrocław CH Auchan ul. Karkonoska 5  
Katowice Supersam, ul. Piotra Skargi 6

**Tiyo Point – 8%**  
Internetowy sklep podróżniczy  
Internet: <http://www.tiypoint.pl>  
E-mail: [sklep@tiypoint.pl](mailto:sklep@tiypoint.pl)



**Sklep Extreme – 7%**  
Zakopane ul. Krupówki 36

Dla członków klubu 10% zniżki w sklepach Azymut:

Przemysł, ul. 3-go Maja 12  
tel. (16) 679 02 10  
Ustrzyki Dolne,  
ul. 29-go listopada 26  
tel. (13) 461 34 74  
Jarosław, Pl. Mickiewicza  
11 tel. (16) 621 67 68

[www.sklepazymut.pl](http://www.sklepazymut.pl)



Miło mi poinformować, że Sklep Podróżnika oferuje naszym członkom 7 do 10% zniżkę w zależności od nabywanego towaru.

Adresy sklepów w Warszawie:  
ul. Grzybowska 6/50  
ul. Kałiska 8/18  
e-mail: [sklep@traveler.com.pl](mailto:sklep@traveler.com.pl)  
[www.sp.com.pl](http://www.sp.com.pl)



**Informacje**  
Lokal Klubowy  
ul. Noskowskiego 10/12  
Warszawa

**Korespondencja**  
ul. Janowska 5/12  
02-129 Warszawa

**NIP**  
525 16 90 727

**REGON**  
000967911

**KRS**  
0000122453

**Konto**  
Millennium SA  
87 1160 2202 0000 0000 1850 2065

**Sekretariat**  
Wtorek 20.00-22.30  
ul. Nowowiejska 37B

**Internet**  
<http://kw.warszawa.pl>

**e-mail**  
[klub@kw.warszawa.pl](mailto:klub@kw.warszawa.pl)

**e-mail administratora serwisu**  
[admin@kw.warszawa.pl](mailto:admin@kw.warszawa.pl)

